LEWSKI

rja

a.

wo

Zbiór powieści

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom sześćdziesiąty pierwszy.

HISTORJA

KOŁKA W PŁOCIE

WEDŁUG

WIAROGODNYCH ŹRÓDEŁ ZEBRANA I SPISANA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane i poprawione przez Autora.

LWÓW.
W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 10.
1874.

WARSZAWA.
W księgarni Michała Glücksberga.

Nakładem Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Prolegomena i wstęp do dzieła.

Że oddawna czuć się dawała potrzeba niezmierna dziejów, które dziś, nie bez obawy, przedsiębierzemy dotknąć po raz pierwszy — nikt temu pewnie nie zaprzeczy. Skromny ten obywatel świata, stojący sobie pokornie z innemi kołkami gdzie go wbito, nie domagający się wyższego stanowiska, nie wyrywający naprzód i spełniający dane mu posłannictwo z wytrwałością niezłomną, wart przecie aby mu oddano należną sprawiedliwość i spisano dzieje żywota jego, w których zaprawdę wiele jest ku nauce i zbudowaniu, a wiele ku rozrywce nawet ludzi.

Pisano obszernie o miotłach, rozwodzono się o rózgach, daleko mniej szlachetnem narzędziu, które natchnionych znalazło panegirystów; czemużbym ja nie miał napisać historji kołka w płocie, istoty skromnej, potulnej, zapomnianej, a niemniej społeczeństwu i ogrodowinie pożytecznej?

Lecz nim wejdę *in medias res*, pozwólcie mi łaskawego ucha (lub łaskawego oka), abym się wprzód nieco wyspowiadał wam z mojego strachu w obec tak wielkiego zadania.

Może być że ten brak odwagi wyda się wam dziwnym przy zuchwalstwie, z jakiem inni porywają się na daleko zawilsze przedmioty, nie mając po temu jeno męztwo i zarozumiałość żelazną, alem nie winien, że mnie Pan Bóg daleko od tych panów mniej śmiałym stworzył — i boję się.

Zresztą historja kołka w płocie może jest trudniejszą do napisania od niejednej biografii, zaczynającej się od daty urodzenia a kończącej dniem śmierci, we

środku zaś pustej jak orzech, wygryziony przez robaka; trudniejszą od dziejów nie jednego rodu, o którym nie wiele co nad to można powiedzieć, że się nań składa jakie pięćdziesiąt pokoleń pasibrzuchów.

Kołek mój ma to do siebie, że z pozoru nic nie znaczący, przechodził jednak dziwne i zdumiewające losu koleje.

Jest to jedna z tych istot niepozornych, za którą byście nie dali trzech groszy, a przecie w potrzebie nieocenionych...

Przedmiot — widzę to — nietknięty, rzecz jest całkiem nowa, materjały dotąd nie zbadane krytycznie, sam bohater mój wzgardzony i sponiewierany — jakże tu przystąpić bez obawy do dziejów tak nierozgmatwanych i ciemnych? Historja sławnego groszakami księztwa Monaco nie byłaby trudniejszą...

Zadanie dziejopisarza narodu, kraju, bohatera, zawsze niezmiernie wielkie i ciężkie, cóż dopiero kiedy walczyć potrzeba z historją nie rozwikłaną, nie obrobioną, pogardzoną i nietkniętą przez nikogo, samemu być krytykiem faktów i tłumaczem ich znaczenia, sprawdzać daty i wykładać ich skutki, poszukiwać szczegółów i wiązać je w organiczną całość? Nie trudniej było Gerwinusowi z historją wieku dziewiętnastego, który przecie nie jest kołkiem w płocie lat ludzkości.

Od dawna zamierzając rozjaśnić ciekawe to życie, którego dziś rys dajemy, zbieraliśmy ku temu skrzętnie rozpierzchłe materjały.

Oprócz ksiąg drukowanych, w których wiele się o naszym bohaterze znajduje, choć nie łatwo tego wyszukać, posłużyły nam wielce nie wydane dotąd pamiętniki jednego krzaku łoziny i notaty starej brzozy, przed laty dziesięciu zgasłej na kuchni podkomorzyca. Zbieraliśmy także podania wiejskie miejscowe, które nie jedno ciemne miejsce w biografii naszej wyjaśniły; nareszcie plądrowaliśmy nawet regestra leśniczego i ekonoma dla wyszukania dat potrzebnych. Z tego wszystkiego, zbadanego krytycznie i przepuszczonego przez gęste rzeszoto rozbioru, utworzył się następujący rys,

który, jak nam się zdaje, nie małym będzie przyczynkiem do ogólnej historji kraju naszego.

Z jakiemi na drodze tych poszukiwań walczyć musieliśmy trudnościami, ile mozołów i trudu kosztowała nas ta historja, trudno byśmy tu opowiedzieć mogli. Nieraz przyszło się drapać przez zarośla, deptać błoto i grzebać ziemię, aby dojść śladów zatartych istoty, skazanej przez losy na zapomnienie a przez nas zagubie wydartej.

Moglibyśmy się tu pochwalić wszystkiemi cnotami, jakie tylko po świecie chodzą, lub w jakie zwykli się ludzie na ten karnawał życia przebierać, gdyby... gdyby nie skromność nasza.

Składamy więc na ołtarzu dobra ogólnego tę ofiarę maluczką po cichu, dozwalając się czytelnikowi domyślać, cośmy uczynili i jak zasłużyli się wiele!

ROZDZIAŁ DRUGI.

Pochodzenie i młode lata bohatera.

Rozpocząć tak ważny życiorys, nie powiedziawszy choć słów kilka o procedencji naszego kołka, jego antenatach i rodzie, byłoby grzechem niedarowanym biografowi... Uznaną jest rzeczą, że wiele z rodziców bierzemy i że u źródła często leżą w zarodku przyszłe nasze losy. Mógłbym tu bardzo poważnych przywieść wam pisarzy, lecz nie śmiem ich, was i siebie utrudzać.

Przyjmiemy więc za pewnik, że chociaż się trafiają ludzie i kołki wyrastający z niczego, częściej człowiek i kołek dostaje w udziale po rodzicach zadatek przyszłego żywota. Na nieszczęście, nie zawsze ten dąb, z którego bale i wańczosy przyprowadzono do Gdańska, zrodzi równego sobie syna, i trafia się, że z dębową naturą dziecię potężnego mocarza lasów, zostanie mizernym kołkiem! Zawsze jednak dębowym.

Domyślacie się już, że nasz kołek był tego pokolenia i rodu, i nie mylicie się wcale.

Ziemia, na której na świat przyszedł, z dawna była dziedzictwem prastarej szlachty JM. panów Rogalów Kijewskich, o których chociaż Niesiecki nie pisał, choć dzieje nie wspominają, w powiecie jednak był to dom wielkiego wpływu i znaczenia. Źli ludzie w ostatnich czasach wymyślili na nich, że z Rogalów stali się Rogalikami, ale ten niesmaczny ucinek zazdrość dorobkowiczów i świeżej kreacji ludzi w obieg puściła.

Wiadomo zkądinąd, że Rogalowie owi piastowali najwyższe powiatowe dostojności, Sędziów, Marszałków, Deputatów różnego kalibru, Podkomorzych, Chorążych, Podsędków, Regentów i t. p. Nie było między niemi

ani jednego, którchy jakąś godnością zaszczycony nie był, lub przynajmniej tytułu nie używał. Blask tedy był wielki, ale się żyło cicho i poważnie wśród lasów, w starym dworze Dębina.

Już z samego włości nazwania domyśleć się łatwo, że na ziemi wołyńskiej osiedlona, otoczona być musiała lasami wiekuistemi...

Lasy te zrazu przepyszne, rąbane były nielitościwie przez kilkaset lat, według tej metody znanej, która się na przysłowiu (jak wiadomo: „doświadczeniem wieków“ zwanem) zasadzała:

Nie było nas,
Był las,
Nie będzie nas,
Będzie las.

Na nieszczęście jednak, to hulanie po lesie zadało fałsz przysłowiu i nie tyle nam żal dębiny co doświadczenia wieków, które się okazało nie ze wszystkiem gruntowne... dębina bowiem cięta i rąbana, naprzód zcieniała, potem się przerzedziła, nareszcie i znikać poczęła...

Po ostatnim wyrobie klepki na wielką skalę przez podkomorzego Rogalę, któremu jakoś piątej czy szóstej niedostawało i w lesie jej znaleźć nie mógł—pozostały tylko ogromne pnie, jak monumenta i grobowce, a między niemi puściła się osiczyna tak żywo i śmiało, że małe dąbczaki, wnuki owych protoplastów, choć im się także chciało życia skosztować, do światła i powietrza dorwać się nie mogły. Napróżno dowodziły, że one tu były dziedzicami, ojczycami, właścicielami ziemi, powietrza, słońca; wskazywały na pnie pradziadowskie i kłody popruchniałe ojców, nic nie pomogło: osiczyna poszła, gęsto się puściła i zagłuszyła nieboraków. Skandal w lesie był wielki, ale fakt dokonany, mimo zgorszenia, przyjęty został ogólnie, a nawet niektóre krzywe dąbczaki poplątały się tak i pobratały z plebejuszowską osiczyną, że ledwie po górnych gałęziach i korze chropawej rozpoznać ich było można.

Starsze nieco dąbki, gdzieniegdzie rozpierzchłe, pro-

testowały nadaremnie...

Za osiczyną przyszły brzozy, leszczyna i różna gawiedź lasowa... Ze wspaniałego lasu zrobił się gaik, w którym ledwie na drwa i kołki coś chłopek mógł sobie wyszukać...

Pewien ekonom, moralista wielki, zauważał, że z panami toż samo prawie stało się, co z lasem, że Rogalowie także z dębów przeszli na osiczynę; ale gumienny powiadał, że wstrzymana ordynarja zrodziła to niewczesne porównanie.

Dosyć, że na uroczysku zwanem *Dębową górą*, u pnia starego, niezmiernego obwodu, zrąbanego na tę klepkę, której podkomorzemu nie dostawało, jednego pięknego poranku ukazał się maluteczki dąbek o bardzo szerokich i lśniących liściach.

W lesie różne były o jego pochodzeniu wieści.

Pamiętniki starej brzozy, wyżej przywiedzione, wyraźnie mówią, że dąbczak wyrósł z żołędzia, którego odyńce leśne wygrzebać nie potrafiły, bo go bronił ów pień majestatyczny; notaty krzaku łoziny wbrew temu świadczą, że dąbek ów puścił nie z nasienia, ale od starych nie zamarłych korzeni prapradziada.

Potrzeba zaś wiedzieć, że w heraldyce leśnej to ostatnie pochodzenie za nieprawne się uważa. Dęby które puszczają nie z żołędzi mają coś w swej naturze zdradzającego ich procendencją przypadkową i nie legalną. Na wiosnę, gdy wszystko się budzi rześwo i żywo, one głuche najpóźniej rozpoczynają życie i długo suchemi gałęźmi las szpecą. Kształt ich też rzadko prosty i dorodny, mało który dochodzi wzrostu poważniejszego, większa część garbata, krzywa, nikła, pada ofiarą swej słabości w pierwszych latach istnienia.

Ztąd w lesie takie uprzedzenie przeciwko tym wypustkom, które rzadko prawo obywatelstwa uzyskują i żadna osiczyna nawet nie da się na sobie oprzeć takiemu wątpliwego pochodzenia jegomości.

Z pamiętników brzozy sękowatej i dosyć złośliwej możnaby wnosić, że nasz dąbczak był bardzo dobrego rodu, gdyż stara plotkarka byłaby zapisała tę wieść,

którą krzak łoziny niewiedzieć zkąd wyczerpnął. Zkądinąd łozy wszystkie od dawna były nieprzyjaciółkami dębów i to tłómaczy dla czego naszemu nie sprzyjały.

Dwa te rody odwieczna dzieliła i dzieli nienawiść; łozina nigdy dotąd, mimo najusilniejszych starań, na grube drzewo wyrosnąć nie potrafiła; mieszkaniem jej mokre doliny i błota; dąb arystokrata nigdy z nią żyć nie chciał i na góry uciekał, gdzie się zeszli waśnili się z sobą, a nasza łoza, dorwawszy się pewnego stanowiska, nie zapomniała dawnych usposobień.

Badając więc te rzeczy sumiennie, raczej za podaniem brzozy niż za ostatniem pójść nam należy, zwłaszcza że późniejszy wzrost dąbczaka legitymuje go z żołędzia. Są świadkowie, którzy widzieli go puszczającego liście na wiosnę...

Położenie, w jakiem przyszedł na świat nasz przyszły kołek, nie bardzo było przyjemne: dobył się bowiem z pod spruchniałego pnia prapradziadowskiego i szukając światła i powietrza, musiał wykrzywić nieco... Inne także okoliczności wzrost jego i pierwsze wypustki tamowały. Od bardzo dawna umieściła się była pod temże pruchnem ogromna ciemierzyca i straszny krzak łopuchu, żyjące w jakiej takiej zgodzie, lecz usiłujące zatamować wyrost wszelakiego krzewu i drzewa.

Myliłby się bardzo, ktoby utrzymywał, że ludzie tylko jedni drugim dla własnego interesu szkodzą: dzieje się toż samo w lesie i na polu. Ciemierzyca wcale nie głupia, wiedziała od zgniłej prababki, którą pamiętała, że drzewko i krzak, byleby mu pozwolić nieco podejść, później stłumi roślinę i trawy do koła i soki im z pod nóg wyssie. Łopuch choć tak niepozorny, ale dyplomata stary, podzielał przekonanie ciemierzycy, oboje więc niespokojnym badali kielichem czy co przy nich nie puszcza, a jak skoro się zjawiło, ciemierzyca truła swym jadem, łopuch szczelnie od słońca i powietrza zakrywał, ściskali się, dusili i niebożątko schło i marniało.

Gdy pierwsze dwa liście naszego dąbczaka pokazały

się na świat, ciemierzyca nie domyśliła się co się święci i wzięła króla lasów za proste ziele; łopuch jeszcze głupszy, miał go nawet za jakiegoś dalekiego kuzyna — dano mu więc pokój.

Dopiero gdy strzeliła drzewiasta łodyga i liście się zupełnie porozwijały, zaczęto go posądzać o to, że może być drewnem. Ciemierzyca, przestraszona puściła ku niemu korzonki pod pozorem przyjaźni, łopuch rozwinął liść tłumacząc się że to czyni z dobrego serca, protegując go od słońca — ale już było za późno. Dąbczak siedział mocno i soki pił ziemne z daleka, a twarda jego gałąź przebiła na wylot liść łopuchu, który zżółkł, poczerniał i obwisł...

Nie było sposobu nań, choć ciemierzyca między trawami intrygowała, żeby one go zagłuszyć się postarały, obiecując im za to trochę miejsca pod sobą — łopuch się wykrzywił na drugą stronę, nie chcąc wdawać w walkę nierówną i dąbczak poszedł w górę.

Wszyscy poznali w nim króla... strach padł wielki na biedaków. Sprzeczała się ciemierzyca z łopuchem, na niego składając winę, on na nią, że trzeba było krewnych, nie krewnych, cokolwiek wyrasta, tępić, że dąbczak mógł być z razu zgnieciony, ale rozprawy te do niczego nie wiodły. Chciano wezwać sąsiedni tarn aby zniszczył wyrostka, ale po rozmyśle, okazał się niebezpieczniejszym od dębu sąsiadem.

Ciemierzyca następnego lata uschła ze strachu, nie zostawując po sobie potomstwa, a łopuch godząc się z przeznaczeniem wegetował skromnie na uboczu.

Pierwsze kroki naszego bohatera, który tak szczęśliwie uniknął niebezpieczeństwa, były jednak dosyć trudne: posadę na ziemi miał do czasu jaką taką, gdyż stary pień go protegował, ale trudno było przewidzieć co w górze spotka.

Samo spojrzenie ku niebu przerażało...

Wprawdzie świeciło tamtędy kiedy niekiedy słońce i lazur się pokazywał, ale sploty gałęzi różnych a w ogóle nieprzyjaźnych były zastraszające. Gdzienie-

gdzie grube rosochate, zdawały się grozić zupełnem zatamowaniem pochodu, cienkie wiły się w gąszcz nieprzebitą, a liści było tyle! a krzyżujących się rozrosłych gałązek i wypustków!

Nie odebrało to odwagi dąbczakowi, który miał nadzieję przetorować sobie drogę ku słońcu jak i drudzy, i choć rzadko promyka skosztował i deszczu się napił, żył jak było można w tej biedzie.

Sąsiedztwo nie było do zazdrości... zaraz w prawo rosła owa stara brzoza, której pamiętniki na korze własnej spisane, później się nam w ręce dostały. Jak inne tego pokolenia i rodu wietrznice, co rozczochranemi włosy po lesie bujają, ona także niebezpieczną była swym blizkim. Nigdy nie można było być pewnym kierunku w jakim pójdzie i kształtu jaki się jej przybrać podoba. Brzozy to mają do siebie, że jedne jak świeca strzelają prosto, drugie rozchodzą się i rozłamują na dwoje i troje, inne chylą aż do ziemi... Raz przybrany kierunek do niczego ich nie obowiązuje, puszczą gałąź grubą i niewiedzieć dokąd strzelą. Fantazja niemi rządzi nie żadne prawo, ztąd dla sąsiadów niebezpieczeństwo zawsze groźne, a byle burza, gotowa się wywrócić i przywalić, takie to kruche i wątłe.

Z drugiej strony miał osiczynę, słusznego już wzrostu, o białej korze, piękną zdaleka, pokaźną, ale w głębi gnilcem zjedzoną, i choć na oko wydawała się zdrowa i silna, równie niebezpieczna, bo od dołu ledwie się trzymała.

Nie można się było na nią skarżyć, gdyż dość przyjemnego okazywała się charakteru; sięgając wyżej innych głową, dawała wiadomość o tem co się na niebie działo, pokarmu ziemi nie ujmowała wiele, bo chorowita, nie potrzebowała go tak dalece; liści jesienią nie gubiła do zbytku, gałęzi nie miała dużo, ani szeroko rozłożonych, słowem, można z nią było żyć, ale byle wiatr zadął, trzęsła się cała i piszczała tak, że strach było o staje...

Czuła ona że runie, przepowiadała nawet że od zachodniego wiatru się powali, obiecywała że szkody wiele nie zrobi, wszelako była nieustanną groźbą.

Trzecia, sosenka... ale o tej godzi się powiedzieć obszerniej.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Nieco o sąsiadce sośninie.

Sosenka ta była bardzo nieszczęśliwą istotą...

Przed kilkudziesięciu laty gwałtowny wicher przyniósł tu jej nasionko z dalekiego boru, na ziemię żyźniejszą, ale wśród obcych.

Dokoła w lasach Dębina nie było ani jednej sosny od niepamiętnych czasów, samiuteńka tu wyrosnąć musiała na wygnaniu, walcząc z gruntem, który jej soków pożywnych udzielać nie chciał, otoczona drzewy, które jej nie rozumiały, bez przyjaciół i krewnych. Natury całkiem różnej od tych co z nią rośli razem, sosna miała wiele do przecierpienia, a gdy pierwszej zimy liście jej szpilkowate nie opadły, brzoza, osiczyna, nawet drobne krzaki leszczyny, rady sobie dać nie mogły, tak się z niej przedrwiwały. Oswojono się z nią wprawdzie powoli, ale zawsze uważano za przybłędę i jakąś podlejszą istotę. Szum jej raził uszy sąsiadów, którzy go znieść nie mogli, zapach powietrze im zatruwał, kształt nawet i barwa ich raziła.

— Że też to nikt nie wytnie! — wołała brzoza.

— Że też to żaden wiatr nie złamie — mówiła osiczyna.

Jaśniej przewidująca lipa, staruszka, dawne pamiętająca czasy, dodawała swoje uwagi.

— Ona jedna, to nic jeszcze — szeptała — ale na tem nie koniec; wiemy sposób w jaki się one wkradają... wiatr przyniesie źdźiebełko jedno, wyrośnie, zacznie się w szyszki stroić, potem gubić je po ziemi, aż patrzcie, jakby cudem wytykają się młode choinki, gęstym zastępem stają i głuszą naszą rodzinę i roz-

chodzą się po lesie i za lat sto my musiemy uciekać lub prosić o pozwolenie zostania u siebie.

Ta uwaga lipy przyjętą została ze strachem przez całe zarośle i skutkiem jej pilnowano bacznie, żeby nigdzie młoda sośninka nie puściła. Zaledwie się ukazał wypustek maleńki, natychmiast go głuszono, jedni strząsali nań liście, drudzy podeń puszczali korzenie, tak, że potomstwo sośninki wybić się na świat nie mogło i ona sama jedna stała sobie sierotą.

W tej samotności zmuszona żyć z niebem, na które patrzała i powietrzem, co ją otaczało, w ciszy głębokiej przysłuchiwała się, czy nie dojdzie ją szum dalekich borów i głos braci, którym tak wesoło było rosnąć kupą i wzajemnie się podpierać... ale rzadko zaleciała ją pieśń bratnia, pomnażająca tęsknotę.

Nie miała nawet tej pociechy, by ziarna jej powrócić kiedy mogły ku borom rodzinnym, bo las był gęsty i nieprzepartą wichrom stawiał tamę, a zielska okrywały szyszki gdy spadły, nie tak jak w sosnowych puszczach, gdzie ledwie trawka rośnie i przyjazna im czernica, a gładkie i wysokie pnie swobodnie wiatrom szumieć dają i daleko ziarna roznosić...

Nie tylko drzewa były w nieprzyjaźni z sosną, ale zielska nawet krzywo na nią patrzały. Spadające z niej igły przysypywały ziemię, tak, że tamowały wzrost wszystkiego, prócz trawy; ciemierzyce więc, staroduby, jaskry leśne i inna gawiedź, nie mogąca sosny dostąpić i zmuszona trzymać się opodal, ostatniemi ją słowy łajały. Nie było nikogo znajomego, wszyscy obcy, nawet trawa inna, a co żyło, nieprzyjacielem. Ptaki, lasu mieszkańce, nie przywykłe gnieździć się w gałęziach ostremi igłami pokrytych, z pogardą także omijały drzewo niemiłe, i wraz z całym lasem go przeklinały. Słowem, było to życie ciężkie i nieosłodzone niczem; niby to żyzniejsza ziemia nagradzała nieco wygnanie, ale sośnina przy tylu zmartwieniach ciągłych nie przywykła do pożywienia nowego, dostała rachityzmu i widocznie chorowała.

Dąbczak młody, któremu także nie bardzo było we-

soło na świecie, uczuł wprędce, że prześladowani garnąć się do siebie powinni, i zbliżył do tej sąsiadki, wdzięcznie nań, jako na pierwszego przyjaciela spoglądającej. Jakkolwiek ciężko im było się zrozumieć, bo całkiem różnemi mówili językami, wszakże w końcu utworzyli sobie mowę właściwą, iglasto-liściowatą, z której choć się las śmiał, oni nią nocami rozmawiali.

Nie wiem czy wszystkim wiadomo, że drzewa także mowę swoją mają, a ruch ich liści i głos który wydają, służy za jeden sposób porozumienia, gdy zapach jest drugim i daleko używańszym, bo dalej i pewniej sięgającym. Ztąd to młode rośliny, jak zwyczajnie krzykliwe dzieci, daleko silniejszym obdarzone są zapachem. Sośnina była z powodu przecierpianych kolei charakteru łagodnego i przyjacielska, pierwsze więc zbliżenie się ku sobie dąbczaka przyjęła grzecznie i nie wahała się bronić go od napaści zielsk szkodliwych, o ile sięgnąć mogła...

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Miejsce urodzenia i epizodycznie o ludziach.

Chociaż, jakeśmy już powiedzieli, miejsce rodzinne bohatera naszego u wielkiego pnia prapradziadowskiego zawierało i sośninę i brzozę i spruchniałą lipę i łozinę i krzak tarni i osiczynę i ciemierzycę i łopuchy — nie był to właściwie las, choć przed wieki powstała z lasu polanka zwała się nawet łąką i koszono ją co roku. Takich łąk leśnych, na których wolno było leżeć i gnić kłodom, pruchnieć pniakom, zarastać trawom i wszelakiemu zielsku się rozpościerać, nie mało na naszym Wołyniu. Może być że postępowi gospodarze zakrzykną na niedbalstwo i zdumieją się nieopatrzności; ja jednak bronić muszę dziedziców i dzierżawców, którzy dają trochę swobody wszelakiemu tworowi leśnemu, bo dla oka, dla umysłu, widok tych malowniczych polanek wielce miły i wdzięczny. Są to oazy wśród naszych gąszczów i zarośli, które bujna ziemia zasiewa. Stoją na nich osamotnione drzewa stare, które oszczędziła siekiera, z powypalanemi swawolnie bokami i zadumane wspomnieniami lat dawnych, szeroko rozpościerają gałęzie; leżą odarte z kory kłody, mchami porosłe, bujają kwiaty, a słońce przedziera się przez gęstwinę i żywym promieniem ozłaca te kupki traw, szmaragdów zielonych, te leśne grządki wesoło rozkwitłych gości, których jutro czeka nieochybna śmierć od kosy wieśniaka.

Łąka nasza należała do chłopka właśnie.

Nic dziwnego, że się im patryarchalnie zawsze wydzielają najgorsze, *prima charitas ab ego.* We wszystkich świata językach znajdują się przysłowia, uświęcające tradycją wiekową i zgodą narodów to postępowanie

baczne i oględne; a ludzie w sprawach o własną skórę niezmiernie radzi trzymać się tradycji i święcie ją szanować. Łąka nie samą trawę rodziła, jak widzieliśmy: zarastały ją także drzewa, zawalały kłody, obejmowały zielska i tarnina, najstraszniejsza z przywłaszczycieli, powoli załaziła coraz dalej, co rok maleńkiego synka lub córeczkę sadząc przy sobie na gospodarstwo.

Chłopek nie bardzo miał czas karczować, a co się tyczy starych drzew, tych nawet wycinaćby nie śmiał, gdyż choć wyrastały na jego łące, nie miał żadnego do nich prawa. Użytkował z trawy, ale postarać się o nią nie mógł i co roku mniej kosił: na to nie było ratunku.

Wypada nam tu z samego toku rzeczy poznać się z tym włościaninem, właścicielem łąki, który na losy naszego dąbczaka wywarł wpływ stanowczy. Był nim niejaki Chariton Pakuła, jeden z tych tysiąca, o których nikt nie wie prócz sąsiada, którzy stanowią cyfrę w statystyce a nie mają żadnego prawa prócz do pracy ciężkiej i stękania.

Pakułowie mieli oprócz tej łąki w lesie na pół zarosłej, trzy szmaty gruntu, rozrzucone w trzech łanach i chatę z ogrodem wśród wioski, prapradziadowską jeszcze, staruszkę, która prawdziwym cudem trzymała się nad ich głowami.

Wszystko tu cudem w tem życiu wieśniaczem, które my przyjęliśmy za fakt spełniony, nie sądząc, aby się w niem kiedykolwiek co zmienić mogło. Jak się tam ludzie rodzą, wychowują, żywią, kształcą, pracują, wystarczają temu co od nich wymagają — któż wie oprócz Boga?

Chata, gdy ją stawią z wyproszonego ukłonem i kurą drzewa, w dniach od pracy wolniejszych, wieczorami, rankami, nocami, po księżycu, sił ostatkiem — rzekłbyś, że nie postoi kilku tygodni, tak biednie się kleci i ubogo a oszczędnie obmyśla — przecież tu podparta, tam podłatana, ówdzie ściśnięta, trwa nieobliczone lata i kilka pokoleń w swem łonie wykołysze i wymorzy.

Nie jednej z nich nie pamiętają budowy, nie wiedzą początku, w ziemię wkląśnie, przysiądzie, tak że dach ledwie nie na przyzbie leży, okienko się w dziurzek kryje, a ludziska w niej mieszkają, żyją, cierpią, rodzą się, umierają, zupełnie tak jak po pałacach.

Toż samo co z chatami dzieje się i z ludźmi, o których wszakże mało kto pisał, i w żadnej historji naturalnej obyczajów ich nie znajdziesz, pod pozorem że antropologja całkowicie im została poświęconą — istotne cuda!

Jawny to fałsz i niedostateczność dzisiejszej nauki antropologii, że ich do ogólnego plemienia ludzkiego zaliczono, gdy ród wieśniaczy widocznie odrębny, wątpię by do człowieczego rodzaju mógł należeć. Mnogie pokolenia szlacheckie i ekonomskie protestowały przeciwko temu i protestują batogiem, gębą, ręką i instynktową ku nim nienawiścią.

W istocie, nie mogą to być prości jak my ludzie.

My rodzimy się z wielkiemi ceremonjami, hodujemy ostrożnie w pieluchach, chuchają na nas, wychowują jak co szklannego, poją, karmią dobranemi ingredjencjami, kładną nam łopatą w głowę mnóstwo rzeczy niezbędnych, a pomimo tych niezliczonych zabiegów nie każdy z nas wychodzi na człowieka, wielu z pozwoleniem na głupców, dużo kaleków, i to życie nasze, tak troskliwie obmyślane, nie jest najszczęśliwszym z żywotów na ziemi. Jakże może być, żeby chłopek, całkiem na łasce Bożej, przychodzący na świat sam jeden, obwinięty brudną szmatą, nie mający czasu być dzieckiem, karmiony spleśniałym chlebem, chodzący często bez koszuli a zawsze bosaka, obywający się bez żadnego wychowania i nauki, nawet religijnej, pracując od dzieciństwa do późnej starości, a często i wcale nie głupi i od nas silniejszy — miał być tego samego pochodzenia co my? Cóż to? — chyba *gratia status.*

Tradycja ekonomów, sięgająca potopu — gdyż ekonomowie, jak wiadomo, zaraz po wielkim kataklizmie postanowieni zostali (jednego z nich na nasienie miał

z sobą w arce Noe) — dowodzi, że to jest plemię odrębne Chama i rodzaj całkiem inny a nie ludzki. Gdyby to byli ludzie jak my, pytam się, czyżbyśmy im w takiej nędzy, utrapieniu i zaparciu żyć dozwolili i zmagali się na to aby ich w niem utrzymać na wieki?

Jest to więc coś innego!... podobne do człowieka z twarzy, z mowy, z uczucia, ale między plemieniem Jafeta a Chama jest przynajmniej taka różnica, jak między cietrzewiem a głuszcem...

Chłop widocznie stworzony został przez samego Boga z przeznaczeniem tego co znosi; inaczej jakżeby wytrzymał czego my ludzie dziesiątej części znieśćbyśmy nie potrafili?

W dodatku, nie uczy się a przecież coś zna i coś umie, często bywa wcale taki nie głupi, a nam, jak wiadomo, wychowanie staranne rzadko kiedy dostateczne, i nie do każdego przylgnie.

Chłop wychowuje się, mniej więcej, jak ów dąbczak na polance, wisi u piersi matki jak tamten wypustek przy starym pniu dębu ściętego; zacząwszy ledwie pełzać, już kury od jadła odgania i z indykami wojuje, zerwawszy, się na nogi gęsi pasie władając biczyskiem i mniejsze od siebie dźwiga dziecięta; dalej powierzają mu bydło rogate i nierogate, potem przechodzi na poganiacza do pługa, a ledwie ośmnaście lat doszedł, liczy się już z rękami i nogami do żniwa, pańszczyzny i gwałtów. U nas w tych leciech jeszcze paniczyków guwerner prowadzi na pasku, tłómaczyć im musi że pies kąsa a krowa bije, że ptaki mają skrzydła do latania a nogi do chodzenia, i rozpoczyna się dopiero ich wychowanie i nauka.

Gdyby to byli jednej rasy ludzie, alboby panicze w tym wieku musieli być rozumniejsi, albo parobczaki głupsze daleko. Od kolebki do dojrzałości chłopek żadnego nie ma nauczyciela krom słońca, powietrza, wody i własnego doświadczenia; rośnie jak drzewo, pije soki z matki ziemi, nikt się oń nie troszczy, nikt mu co złe a co dobre nie powie — przecież na człowieka wyrasta i dźwiga się krzepko. Gdyby to tak naszemu pa-

nięciu jak dąbczakowi i jemu, czyżby go djabli nie wzięli?

Jestem więc tego zdania, że w antropologii, kiedy już koniecznie za ludzi mają uchodzić, osobnyby przynajmniej rozdział należało poświęcić licznemu plemieniu chamskiemu *(excusez l'expression)*, które ogólnym prawom rodu Jafetowego nie ulega.

Chariton Pakuła, pan i czasowy właściciel owej łąki, na której rósł nieświadomy przyszłych swych losów nasz kołek do płotu przeznaczony — należał tedy do owego pokolenia Chama, a że Pakułowie ci wiele wpłynęli na koleje, które naszego bohatera spotkać miały, musimy bliżej się z niemi zapoznać, mimo wstrętu, jaki w nas naturalnie tak poziome istoty wzbudzają...

Zastrasza nas tylko to, że w jednym liście z Podola czytaliśmy, iż filantropia i zajęcie włościanami lada chwila przeniosą się do przedpokojów — miałżeby ten los i naszą książkę spotkać???

Protestujemy!!! Chłop wychodzi tu epizodycznie i z konieczności — niech nas Bóg uchowa, byśmy się nim zbytecznie zajmować mieli!!!

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Z powodu kołka, historja o chłopach.

Pakułowie ci od niepamiętnych czasów byli sobie Pakułami tylko i nic więcej — chaty ich początku nikt nie pamiętał, ani o protoplaście komu było wiadomo, gdyż księgi metryczne kilka się razy paliły. Zagroda, na której mieszkali, u sąsiadów zwała się Pakułowszczyzną, równie jak owa łąka w lesie i trzy szmaty gruntu na polach...

Dzieje wioski podają, że od mglistych czasów, w których poczęto spisywać ludzi na regestra i numerować ich jak bydło, zawsze jakiś Pakuła znajdował się we wsi Dębinie. Starożytną też była owa chata, w której się oni mieścili i archeologowie winni są bardzo, że ją na żadną dotąd nie wzięli wystawę. Na pierwszy rzut oka podobna już była raczej do wielkiego kretowiska, zieloną okrytego tarniną, niż do ludzkiej siedziby, a najwydatniejszy z niej był ogromny dach, który jak grzyb pokrywał kawałątko ziemi przez nią zajmowane. Wierzch ten był misternem dziełem wieków i ludzie nie więcej w jego wystawieniu udziału mieli od czasu.

Majster ten, który zwykle burzy tylko, tu, przez niewytłómaczoną litość, przez jakąś fantazję, podjął się umocnić co dawno upaść było powinno. Zgniłe krokwie i łaty, strupieszałą słomę dachu tak związał mchem i porostami, trawą i tajemniczemi jakiemiś środkami, że mimo dolin i pagórków, wykręceń i zwichnień, wszystko się tu trzymało najosobliwszym sposobem.

O ścianach trudno sądzić co je związywało i broniło od upadku, gdyż maluczko wychodziły nad ziemię, a okno, mające dawać światło, na pół zasunęło się

w przyźbę, która dotykała dachu miejscami i stykała się z nim jak nos z brodą u starych ludzi.

Wewnątrz mieszkanie ciemne i wilgotne, podobne było do ziemlanki, tak zapadło w głąb, ale miało to swoją dobrą stronę, gdyż zimą cieplejsze było i zaciszne... otulała je matuchna stara... Wprawdzie czasu wielkich deszczów stała tu nieproszonym gościem przybywająca woda w izbie i sieni, aż ją wiadrami i neckami wynosić musiano; ale na tę małą niedogodność nikt nie uważał, a pewien uczony podróżny dowodził, że w tem nie było nic nadzwyczajnego, gdyż w czasie wylewów Tybru, woda staje na półtora łokcia nad posadzką Panteonu i grobu Rafaela — czemużby jej nie wolno być miało zajrzeć do prostej chłopskiej chaty?

Wyjąwszy to, stara Pakułów siedziba wcale była porządna ciasna, ale w niej nigdy balów dawać nie myślano; brudna, ale nie było czasu na wytworność się zmagać; wilgotna, ale do jej powietrza i zapachu wszyscy byli od dzieciństwa przywykli i zdawały się im koniecznemi.

A tę nędzną jamę tak kochali ci co w niej porodzili się i żyli, jak gdyby marmurowym była pałacem. Izba główna, niegdyś zwana świetlicą, póki w niej było światło; za dawnych, lepszych czasów stawiana, dość obszerna, mieściła też w sobie co gdzieindziej dom cały. Ona była jadalnią, bawialnią, pracownią, sypialnią, spiżarnią, kuchnią i składem. Najszerzej rozgościł się w niej piec z przypieckami, zapieckiem i pieczyskiem, szeroki i wysoki, obok chlebnego stojący, z którym się łączył... na nim stał cały rzęd garnków, pod nim było schronienie kur i kaczek, a po bokach pilnowały porządku miotły, łopaty i stara opalona kociuba. Do koła szerokie rozpościerały się ławy, dźwigające u drzwi zawsze pełne wiadro wody z czerpakiem, w rogu chlebną dzieżę, czystym ręcznikiem okrytą. Tuż i stół z bochenkiem chleba gościnnym i warsztat z zawsze naciągniętym wątkiem...

Trzeba albowiem wiedzieć, że Pakułowie, oprócz zajęcia rolniczego, mieli jeszcze rzemiosło i bawili się

tkactwem, od tego przemysłu coś naturalnie do dworu odrabiając...

Było zawsze zapewne niezmiernie słuszną zasadą gospodarstwa naszego, że z chłopa, który sobie czemkolwiek własnym sprytem dochodu przymnożył, ciągniono delikatnie większy przychód dla dworu... to go musiało zachęcać do pracy. I tak, jeżeli w ogródku postawił kilka ulów dla pszczółek, płacił od nich oczkowe, dawał miód lub dziesięcinę w naturze; tkacz odrabiał półsetek darmo za to, że miał warsztat lub warsztatowe uiszczał. Niezmiernie to rzecz była słuszna, gdyż wychodząc z zasady głębokiej, że wieśniak należał z kośćmi i skórą do swojego pana, czemużby, jak wół tłustości i łoju, nie miał dać cząstki swego zarobku panu, który go utuczył lub paść się dozwolił? Pakułowie zatem od czasów niepamiętnych robili półsetki do dworu i płacili *certum quantum* warsztatowego, biorąc tylko parę garncy zboża na szlichtę...

W owych czasach rodzina ta składała się z... O mało nie zacząłem od najstarszego po porządku, a byłbym czytelnika w błąd wprowadził, wyżej wspomniawszy o Charitonie, tu wiodąc rzecz od Semena... Żył bowiem jeszcze ojciec Charitona, ale już był całkowicie na rzecz syna abdykował, o czem nieco obszerniej powiedzieć nam wypada...

Ojciec Pakuły, Semen, zwany przez gromadę Perebendią — z powodu, że gawędzić i żartować nadzwyczaj lubił, a za lepszych swych czasów wesoło się trzymał i język miał nie dla proporcji — teraz już do zarządu gospodarstwa i spraw domowych wcale nie należał. Jak do tego przyszło, historja nie powiada, dość że staruszka znajdujemy już u własnych dzieci, we własnej chacie na łaskawym chlebie. Był to sobie zaschły grzybek zgarbiony, pomarszczony, malutki, chudzina trochę zdzieciniały i na oczy przyciemny. Może ten początek ślepoty niezupełnej pozwolił mu odpocząć i na syna zdać chatę i gospodarstwo. Nie siedział jednak Semen Perebendia z założonemi rękami za piecem, tylko z ojca przeszedł na dziecko — robił tyle

co wyrostek, ale zawsze robić musiał, bo u chłopka nikt darmo chleba nie je. Zdrowszym będąc, w pogodny czas chodził tatuś po wodę; gdy się zakaszlał i zasłabł legiwał pod piecem, w gorący czas żniw szedł z sierpem na pole jak drudzy i swoje dziesięć snopów nakrajał, choć go krzyże bolały, a w domu i koło domu nie mało się naprzysługiwał po trosze drepcząc, tylko głową już nie był, a syn Charyton go zastępował.

Bydłu trawy mógł przynieść, krowom ziela nasiekać, owieczki do chlewa zapędzić, w pole wreszcie dla robotników zanieść dwojaczki — i to były jego dzisiejsze obowiązki. Mieszkaniem Semena zimą i latem był zapiecek, a starych siermięg para i kilka koszul całym majątkiem. Niekiedy w węźle rubaszki zabłąkał się jaki groszak wytarty... ale bardzo rzadko!

Syn, synowa, wnuki i prawnuki obchodzili się z nim łagodnie, ale jak z dzieckiem, które swej woli nie miało: kazano mu robić to lub owo, a Perebendia, wiedząc dobrze że nikt do śmierci od pracy nie wolny, słuchał póki sił stało, choć czasem i stęknął. Dawny dowcip i rozum starego Pakuły wraz z władzą go opuściły; mówił teraz nie wiele, więcej głową kiwał i uśmiechał się, jednakże w święta po wódce, pokrzepiony, odzyskiwał dawną wymowę i śmiałość, którą nazajutrz znów tracił. Przespawszy się i oprzytomniawszy, milczał i słuchał pokorny.

Oczy mu już nie pozwalały robić za warsztatem: tam syn, synowa i młodsi go zastępowali, staruszek tylko szlichtę przyrządzał, a czasem... prządł wieczorami na worowinę... Dziwny to był zaprawdę widok tego starca zgarbionego, który na przypiecku skurczony zabawiał się wieczorami wrzecionem i długie nici wysnuwał.

Nie jadł więc darmo i teraz służąc u własnego syna.

Dziewczęta się nim pod różnemi pozorami wyręczały do przynoszenia wody, wyganiania trzody, chodzenia z bliźniakami, a staruszek ani mruknął gdy go poprosiły, by co zrobił, syna i synowej słuchał jak

niegdyś oni jego. Czasem przychodziło mu nosić które wnuczę lub prawnuka, kołysać go i śpiewać, i to było jego najulubieńszem podobno zajęciem, gdyż sam trochę zdziecinniał, i z niemowlęty umiał się obejść jak kobieta. Ten niepłatny a chętny sługa bardzo w chacie był dogodny; nie skrzywił się, nie użalił, o nic nie prosił, resztki tylko z garnków wyjadał, a zawsze za piecem siadywał, żeby drugim w izbie miejsca nie zabierać...

W słoneczne dni lata, uziębły zawsze i drżący, gdy można było sobie odpocząć, kładł się na przyzbie wraz ze starym psem Kruczkiem i tam przytuleni do siebie zasypiali smacznie w dni świąteczne. Kruczek i on lepsze pamiętali czasy, oba dziś starzy, podobieństwem losów i cnoty połączeni, w wielkiej z sobą żyli przyjaźni. Semen dzielił się z nim suchym chlebem, a on łożyskiem na przyzbie.

Chariton, syn Semena Perebendi, w sile wieku jeszcze, znacznie starszym wyglądał niż był w istocie, a choć brody jeszcze jak ojciec nie zapuścił, głębokie marszczki po czole i twarzy zastępowały świeży rumieniec młodości i plecy miał przygarbione przed czasem. Jak ojciec niegdyś wesół był i ochoczy, tak Chariton milczący i smutny; nie przeszło też nań owe przezwisko Perebendi — ale gromada chłopcem jeszcze Charitona nazwała Mrukiem.

Za rana się jakoś ożenił i bodaj czy sobie tem całej nie narobił biedy, bo wkrótce później spuścił głowę i gwałtownie starzeć począł, choć ani pisnął, ni się poskarżył. Słyszano go tylko czasem, gdy chodził za bronami lub pługiem, mruczącego coś do siebie po cichu, a gdy sam w chacie pozostał, stękając ze ścianami rozmawiał. Z ludźmi za to mówił mało i to tylko na ich usilne odpowiadając pytania, pół słowy, z koniecznej potrzeby.

Wieśniacy także tej nieszczęśliwej chorobie podlegają, która się u nas miłością zowie, a rzadko i z nich wyjdzie który cało — znaczy ona jak przebyta ospa na całe życie. Chariton będąc jeszcze parobczakiem, roz-

miłował się w pięknej i wesołej Wasylissie, dziewczynie ubogiej, która na folwarku służyła, w cienkich chodziła koszulach i śliczne pieśni śpiewała.

Jakim sposobem między tym rodem Chama biorą się ładne twarze, żywe oczy, uśmiechające wesoło usta i zgrabne kibicie i ramiona białe i nóżki zręczne — tego ja wytłómaczyć nie potrafię: Bóg daje czy przypadek wyradza? zgadnąć trudno... To pewna, że u nich krasa znika prędko, rumieńce przekwitają, marszczki w dwudziestu leciech się zjawiają i młodość jest błyskawicą... nie znają też kosmetyków żadnych oprócz wody, a Guerlain nie dla nich pracuje. Wasylissa była tak piękna, że Chariton dla niej głowę stracił i pomyślał niewiedzieć zkąd i jak być sobie z nią szczęśliwym — jak gdyby miłość, szczęście i inne tego rodzaju rozrywki, nie były wyłącznym udziałem Jafetowego plemienia? Zachciało się biednemu chłopowi ożenić z miłości, co innym rzadko na dobre wychodzi, i odpokutował za to biedaczysko przykładnie — Perebendia jeszcze wówczas gospodarzył i ojcował, a dobadawszy się co syn ma na myśli, zaraz mu szczerze i otwarcie powiedział.

— Oj bieda będzie Charitonie... piękne liczko w oczy wpadło! a to nie Boży dar, a szatańska pokusa. Każda młoda piękna... na co tobie przebierać w oczach i ustach, kiedy nam o rękach i sercu myśleć potrzeba!!

Zkąd tę prawdę wziął stary Perebendia, nie wiadomo, to pewna że nikt go nie uczył, nawet doświadczenie, bo jego nieboszczka nie była piękną, a Semen zawsze od kobiet stronił jak od powietrza. Dosyć że mu to zkądeś wiatr przynieść musiał, ale z wiatrem też poszło mimo uszów syna, który w głowę się poskrobał, a koło folwarku krążył jak wprzódy. Wasylissa nie była od tego: sierota chciała się wydać za mąż za gospodarza, a na wesele nie było jej komu naprząść i utkać ręczników, choć cały dwór za nią latał.

— Co będzie to będzie! — zawołał Charyton — a

taki się z nią ożenię!

— To się sobie żeń — odparł Semen smutno — na to rady nie ma, kiedy komu kobieta głowę zawróci... ale nic nie będzie, krom biedy!

Huczne tedy było wesele; sprawiano je we dworze, gumienny był starostą, marszałkiem szynkarz, a najdorodniejsi parobcy drużbami pana młodego, wódki dawano w bród.

Wasylissa tak się wystroiła, że choć ją malować— ale w tydzień po weselu już w chacie posmutniało. Raz wraz przychodzili nieproszeni goście, na których Kruczek ujadał, 'mołodycy stroić się chciało choć na pole, w niedzielę tęskniła do tańca i skrzypek, a w domu jakoś z robotą nie szło i musieli ją zastępować, bo białe rączki bolały...

Nie byłać to zła kobieta i nikt nic na nią nie umiał powiedzieć, choć ze dworu różnie wychodzą: ale już od ludzi innych chwyciła próżniaczej natury Jafetowych dzieci i nie umiała pracować... tylko gdy się znudziła spoczynkiem.

Jeszcze lat kilka potem trwała świeżość na jej twarzy, świeciło gładkie owe liczko co za serce ciągnęło i resztki młodości, ale Pan Bóg dał dzieci i kwiat zwiędł szybko, a Wasylissa z pamięcią lat pierwszych pozostała bijąc się w życiu powszedniem, do którego przywyknąć nie mogła.

Charyton coraz bardziej stawał się mrukiem... a stary Semen wlazł za piec i prząść się nauczył.

Pierwszem dziecięciem Charytona był syn Sachar, podobny do matki jak dwie krople wody, na podziw piękny, zdrów i silny, ale przyniósł z sobą w duszy macierzeński smutek, pragnienie rozrywki i upodobanie w swobodnym spoczynku.

Prędko się wychuchany rozwinął, przemówił żywo i roztropnie, w pięciu leciech wyglądał na ośmioletniego chłopca, ale do roboty go zaprządz nie było podobna i całe dnie do góry brzuchem leżał na słońcu w ogródku, śpiewając zadumany, bawiąc się z harbuzami, lub latając po polach bez celu.

Wybujał taki silny, barczysty i krzepki, jak ów dąbczak w lesie i Dubiną go niektórzy we wsi nazywali, ale z oczów mu patrzało, że gospodarzem nie będzie. Po nim przyszła na świat córka jedna i druga, ale dziwnym trafem, gdy Sachar był piękny, dziewczęta prawie brzydkie, i do niego i do matki niepodobne... Jedna z nich Zonia, w piętnastym roku życia wyszła zaraz za mąż, bo potrzeba było w chacie przyjmaka, gdyż Sachar nic robić nie chciał i na niej a jej mężu cała teraz chata stała; druga Marja, później nieco wydana za sąsiada, o płot tylko mieszkała od rodziców... Starsza miała już dwoje malutkich dziatek, które się z chłopcem Marji przed wrotami bawiły, a Sachar ani myślał się żenić i na wiejskie dziewczęta się krzywił. Ciągnęli go do niejednej, namawiali, ale chłopak skrobał się w głowę, ramionami ruszał, a na usilne namowy odpowiadał biorąc za czapkę i uchodząc z domu.

— Zobaczemy! — mówił — zobaczemy... co tam tak pilnego, jest komu chleb jeść!

Prawdę powiedziawszy, pieszczony dzieciak i matki ulubieniec, czuł, że z ożenieniem skończą się dlań młode lata swobody i jak mógł od niego się obraniał.

Jemu coś w głowie świtało, coś się snuło w myślach, jakby nie powinien był zostać przy roli, chacie i tem życiu, zewsząd wszelkiej zamkniętem nadziei. Matka śpiewem, las szumem, łąki wonią, wody szmerem tęsknym wychowały go na marzyciela, jak gdyby nie chłopem był a człowiekiem. Chciało mu się iść gdzieś daleko, a jak ów dąbczak przyrosłym się czuł do Pakułowszczyzny; chciało się wiedzieć coś więcej i dosłyszeć szumu dalekich gromad ludzi, który tu nie dochodził, sił użyć inaczej, począć wedle serca... a wszędzie znajdował zapory i przymus.

Musiał, mimo że go matka broniła jak mogła, czemś przecie się zajmować, i szukał sobie takiej pracy, którąby choć myśl zostawiła swobodną, dalekiej od oczów i ludzi: więc gnał bydło na paszę i konie

na noclegi, a tam położywszy się na miedzy, wykręcał fujarki z łoziny, strugał z drzewa kijki opłatane korą i zasłuchiwał się u lasów pieśni.

To go dziki ptak zaciekawił piórami jasnemi, to śpiewem inny, to gniazdem misternem trzeci, to dziki zwierz swojemi tajemniczemi chody, to chmury barwą, która nabierała i gasła bez widocznej przyczyny. Zamiast pracować, myślał, dumał i zgadywał, a po Bożym świecie tyle zagadek, że na nich życia nie starczy, gdyby przyszło wszystkie rozwięzywać. W niedzielę i święta, gdy się swobodniej gromada i dziewczęta zebrały pod gospodą, Sachar tak samo siadał zgadywać ludzi, jak w lesie ptaki i dziwować się im i cudować. Aż stary Perebendia, który choć ślepy widział to dobrze i wnuka kochał, zapytał go wreszcie:

— Co ty sobie myślisz?

— Co ja sobie myślę? — odpowiedział młody parobczak — chcecie wiedzieć? ot dziadu, co ja sobie myśle, że świat ślicznie zbudowany i gospodarz rozumny, a człowiekowi przecie na nim bieda i bieda.

— Czy ty to myśląc, odmienisz? — przerwał Semen ruszając ramionami.

— Choćbym i nie odmienił, trudno oczów nie mieć i nie dziwować się.

— Ale pora by do roboty, a to chleba nie będzie i o głodzie myśleć przyjdzie...

— Czemuż drudzy nie pracują a nie mrą?

— E! e! ty bobyś chciał wszystko wiedzieć a nic nie robić! — roześmiał sie Semen.

— Jak byś zgadł, dziadu kochany... toby mnie było na rękę.

— A na cóżeś ty się chłopem urodził?

— Otóż to cała bieda! gdybym ja tak był paniczem jak oto nasi, wodzili by mnie po polach, ziołka pokazywali, kamyczki dla mnie zbierali, uczyli, pieścili i nie trzebaby chodzić za pługiem.

— Ej! ej! któż to wie gdzie lepiej, Sacharze, u tego pługa czy we dworze! na dwoje wróżka wróżyła!

Ale żadne namowy do pracy nie pomagały a Sachar swoje robił, konie jego często bywały w szkodzie, gdy się zaśpiewał i zadumał, rzadko pługa nie złamał poszedłszy orać, z brony zawsze kilka zębów wybił, a kosząc, żelazce szczerbił i nogi kaleczył.

Gromada osądziła go zaraz po swojemu i dano mu przezwisko *Nietiamet'*, co wychodzi na głuptaszka, gdyż za takiego mógł przy robocie uchodzić a tu grunt była robota. Za to na radzie, do tańca, do wygadania się Sachar był pierwszym i zadziwiał wszystkich sprytem, który nie wiedzieć zkąd mu przychodził. Były na niego chwile takie, że kołka zaciosać i słowa rzec nie umiał, a w innych mówił, robił, śpiewał czego się nigdy nie uczył, na podziw osobliwie.

— To nie chłopska natura w tem dziecku — szeptał po cichu Perebendia — chłop musi być takim dziś jakim był wczoraj, a Sachar... patrz ino którędy wyleci, dziś oknem, jutro kominem. I wszystko umie i nic nie umie, jak na niego napadnie; — jemu by panem i swobodnym być, nie parobkiem... Jak się to nie przemieni gotowa bieda z chłopcem...

Dziwna rzecz, choć takiego niezdarę, wszyscy go lubili i folgowali jak mogli, uśmiechem rozbrajał, głosem pociągał, słowem jednał tak, że nawet najnieczulsze z narzędzi, bizun ekonomski, często od pleców swych odegnał jakimś cudem. Na wsi, we dworze, lubili go jak dziecię pieszczone, matka za nim przepadała, ojciec jak mógł w pracy wyręczał, siostry zastępowały koło domu, i stary Perebendia, choć gderząc ujmował się za nim. Wiodło mu się też doskonale i wesoło, — ale taka bieda z człowiekiem zawsze a nawet z chłopem, że byleby mu się wiodło nigdy dosyć, chce się więcej a więcej, aż nareszcie gwiazdki z nieba, dokąd już chyba przez dziurę w ziemi dojść można, i to dopiero *meta laborum.*

Mało Sachar robił a stękał, nic nie robiąc nudził się, porywał z wielką ochotą do każdej rzeczy nowej i wnet ją rzucał utrudzony, zawsze mu się

chciało nie tego co było, ale najczęściej tego co być nie mogło.

Czekał jutra nie śpiąc, a gdy przyszło, po wczorajszym dniu płakał.

I tak wyrósł na podziw ludziom, na utrapienie sobie i niepokój staremu dziadowi, który wciąż powtarzał — jeden Bóg wie co z tego będzie...

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Jeszcze kołki i ludzie.

Rósł tedy, rósł a broda mu się wysypała na twarzy jak trawa w stepie na wiosnę...

Choć *Nietiamet'* niby to, do wszystkiego był zdatny, a czasami na podziw umiał co chciał, byleby mu długo jednego robić nie kazano i nikt nie stał nad karkiem, a własna wola panowała; — z musu nic nie potrafił, zaraz mu głowa obwisła, ręce zdrętwiały i naprawdę był do niczego.

Z serca i ochoty, dla ojca i matki, dla ładnego dziewczęcia, dla ubogiego starca, gotów był do potu się upracować, — z głodu i przynuki kartofli by sobie nie upiekł.

Z tego wszystkiego pokazuje się, że miał naturę więcej ludzką niż chłopską, która do jego stanu wcale nie przystawała. W chacie nie było z niego korzyści, dla tego też Zonię musiano wydać za mąż i wziąć przyjmaka do chaty, bo Sachar bujał, a na niego ojciec nie mógł nic rachować, chyba w biedzie i ostateczności. Na zły raz, prawda gotów był i życie zaofiarować... i czterech zastąpił... ale to nie trwało — byle bieda za drzwi i on w pole...

Zresztą koło koni i bydła znał się dobrze, pług naprawić potrafił, stelmaską robotę tak gładko nie raz mu się wykończyć udało, że sam majster się jej dziwował, skrzypkę nawet sobie wystrugał i grać się na niej nauczył bez niczyjej pomocy; — nożem także co chciał wyrzeźbił z prostego kija, a choć mularki nie znał, piec rozwalony naprawił i wylepił jak nie można czyściej, za warsztatem więcej płótna utkał od ojca i siostry, dźwignął nie raz wór, że go drudzy we dwóch

nie wzięli... ale zaprząść-że go było gwałtem do czego, nie wybiłeś z niego ani ruchu, ani słowa, a pod złą godzinę jak się zaciął, wszystko psuł i opuszczał...

Z ludźmi także nie jednakowo się obchodził i jak wiatr nań powiał, czapki nawet przed ekonomem nie zdjął, choć drugiego dnia biegł w zawody gdzie mu pokazano.

Ze wszystkiego jednak skrzypkę Sachar lubił najlepiej, i nóż którym sobie strugał różne rzeczy... Jak się zagrał choć do niego strzelać było, na inny świat wędrował, ni chłodu ni głodu nie czuł, ni krzyku by nie usłyszał nad uchem.

Przychodziły na niego takie chwile zacietrzewienia — i w inne czasy, choć nie grał, tak że starsi, mówiąc o nim pokazywali na czoło, dając do zrozumienia iż nie spełna był przytomny. We dworze, z powodu jego wzrostu i budowy a niewielkiej ochoty do pracy kilkakroć już podobno była mowa o przeznaczeniu go na żołnierza, ale szczęściem, zawsze ktoś pożałował biedaka, który wcale do dźwigania oręża się nie nadał.

Prawie rowieśnikiem Sachara był ów nasz dąbczak na łące w lesie, o którym niecośmy zapomnieli, ale nie wiele o młodości wiejskiego dziecka, a mniej jeszcze podobno powiedzieć można o pierwszych latach kołka rosnącego gdzieś w gaju...

Pomału wychodzi z ziemi co ma trwać długo, rośnie nieznacznie, krzepi się zwolna, — ludzkie tylko sprawy prędko się jawią by zniknąć prędzej jeszcze.

Ogólne to prawo stosuje się do wszystkiego widomego pod słońcem, a mądrość narodów sformułowała je po swojemu, mówiąc, że co nagle to po djable...

Drzewko też jakby miało trwać wieki, rosło niepostrzeżone i wcale się nie spiesząc.

Sąsiedzi, stara brzoza garbata, osiczyna chorowita, sośninka młoda, nawet krzaki potulne, najrozmaitsze robiły przypuszczenia o przyszłości dębu — jedni utrzymywali, że ten lichy wypustek lada przechodzień wyłamie, lub który z Pakułów z zielskiem wykosi nieboraka, jak to wielu z młodzieży się trafia, że bez

wąsów idą na wiekuisty spoczynek; tarnina była tego zdania, że skaleczeje nim pójdzie do góry i na wieki lichym krzakiem zostanie; inni rokowali mu świetne losy, a widząc, że z pod tak wspaniałego pnia pradziadowskiego się dobył, obiecywali zeń belkę potężną, lub pół kopy klepek... Nikt nie zgadł co go spotkać miało!

Dąbczak pomaluteńku spinał się do góry...

Wprawdzie pierwszych wiosen kilka w srogiem był niebezpieczeństwie od kosy Sachara, który niezmiernie zamaszysto uwziął się nawet na drobne łozy i puszczające się świeżo krzewiny, ale wyśliznąwszy się, nie wiem jakim cudem, na przyszłość już lepszej nabrał otuchy... W trzecim roku mocno został podcięty, czwartego i dalszych już go kosa nie wzięła, trzeba nań było siekiery lub noża, a Sachar o oczyszczeniu łąki nie myślał i dąbczak rósł szczęśliwie...

Gdy się nieco podniósł, już go Chariton pożałował, przewidując, że się z czasem na coś lepszego przydać może. Łopuch i ciemierzyca ustąpiły mu z drogi, kłócąc się tylko między sobą i przypisując winę wzajemnie, że w pierwszej chwili energiczniej sobie z młokosem nie postąpiły. Rozumny dąbczak nie bardzo się spieszył z puszczaniem gałęzi, wyrzucił ich tylko tyle z siebie, ile gwałtownie potrzebował na liście, które mu pożywienie niosły, całą siłą grubiejąc w pniu głównym i starając krzepko podnieść w górę...

— Co ty mi mówisz? — odezwała się patrząc na to brzoza do osiczyny — z niego będzie dąb co się zowie i kto wie, czy by wcześnie sobie jego łaski zaskarbić nie wypadało, bo on tu poczekawszy nas wszystkich powydusza. Ja widzę, jak on się bierze do życia, grubieje w oczach, na gałązki się nie rozprasza, oszczędny, gospodarny, a do góry wali całym pniem. Na wiosnę, choć mu się pewnie zachciewało, ani jednego wyrostka od korzeni nie puścił, co by go było osłabiło... jeszcze lat kilka a najgłupszy leśniczy będzie go oszczędzał i pozna co on obiecuje.

Osika wstrząsła głową z niedowierzaniem.

— Licho go weźmie — zawołała do towarzyszki — zobaczycie, lada parobczak wytnie, nie zdaje się żeby miał przyszłość przed sobą... Co roku pada ich tyle, bądźmy spokojni — nie wiatr to człowiek lub bydle uwolni nas od sąsiada.

I dodała w końcu osiczyna swoje zwykłe przysłowie:

— Jakoś to będzie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Jakoś to będzie!

O tem przysłowiu, bynajmniej nie ujmując innym równie znakomitym, możnaby całą książkę napisać; spodziewam się wdzięczności moich czytelników, gdy zamiast obszernej rozprawy dam im tylko króciuchne *epitome*.

Żadnego u nas z licznych przysłów, pozostałych z przeszłych wieków i utworzonych za naszych czasów, obficiej na wszelkie wypadki nie używają nad to fatalistyczne: — Jakoś to będzie! — Czy idzie o fraszkę, czy o rzecz największej wagi, długie rozmysły i zaciekania kończą się zawsze tem nieszczęsnem:

— Jakoś to będzie!

Nic lepiej nie maluje fatalizmu, w który popadliśmy przez lenistwo umysłowe i wszelakie inne, nad to wiekuiste: — Jakoś to będzie. — Jak będzie i kiedy i przez kogo, nie wiemy, ale nas pociesza, że jakoś to będzie.

Pięknie to bardzo mieć ufność w Bogu i Opatrzności, ale spuścić się na *jakoś*, na *coś*, na przypadek, jest to zrzec się rozumu, woli i kierunku życia.

— Panie Jacenty! — wołamy — literatura upada, czemu jej nie podtrzymujecie? macie obowiązek ją wspierać, języka sprawa to sprawa życia... cóż jeśli z waszej winy przegraną zostanie?

Pan Jacenty na to z krwią zimną:

— Dajcież mi pokój! jakoś to będzie!

— Panie Pietrze — mówi ktoś inny — kościół się wali, księża chleba nie mają, seminarja potrzebują pomocy, szpitalów proszą ubodzy, szkółek lud czeka... ruszajcie się, pomóżcie, obmyślcie, róbcie coś przecie...

na was leży przyszłość! Historja was spyta o rachunek...

— Porzuć-że — śmieje się pan Piotr — i bez nas jakoś to będzie...

— Panie Janie — zagaja inny — myślcie o wyborach urzedników, którzyby istotnie zdrową i zacną część społeczeństwa przedstawiali, którzyby nie chlubili się przed wami, że oszczędzili waszego grosza narobiwszy wam wstydu, ale że spełnili obowiązek... jedźcie na wybory, nie rządźcie się prywatą ale sumieniem...

— A co mi tam — mówi pan Jan — u mnie kosowica! jakoś to będzie i bez nas.

— Kochany Julku, teatr nasz upada, podtrzymajcie go choć szelągiem od niepotrzebnych wydatków, dźwignijcie scenę narodową... i to święty obowiązek.

— A cóż mnie do teatru! — ruszył ramionami Julek — gdy do niego chodzę to za miejsce płacę... jakoś to będzie!

I tak ciągle, tak zawsze, idziemy ślepo, każdy sobie i przed siebie, niechcąc się ująć za ręce po bratersku, ani pomyśleć o jutrze, a gdy jeden z tych biednych proroków, od których wszyscy uciekają jak od powietrza, odezwie się, wołając do pracy, obmyślenia jutra i poświęceń ochotnych, odwracamy się tyłem, szepcąc po cichu:

— Jakoś to bedrie!

Ale w końcu nijak to nie będzie!!! nie zostanie ani grosza, który dziś pozostał jedynem bóstwem naszem, ani mienia, które tracimy na zbytki, ani, co gorzej, poczciwej sławy i czci starej, ani spokoju sumienia — źle jakoś będzie, bośmy o lepsze starać się nie chcieli, nie umieli, nie zdążyli póki była pora.

Cała nasza społeczność choruje na to — *jakoś*, nie wierząc już w siebie, uznając się słabą do pokierowania jutrem i spuszczając na to co okoliczności sprowadzą. Smutniejszego symptomatu nie znam w dziejach... ani wyrazistszej oznaki upadku. Wszystko, czego po nas losy i dzieje nieubłagane wymagały, poświęciliśmy po kolei; dziś grosza tylko trzymamy się, jak ostatniej

deski wybawienia, i byle kieszeni nie dotykano, na resztę mówim z głupią osiczyną — Jakoś to będzie!

A! źle będzie na pewno, moi panowie, bośmy opuścili ręce i pozamykali serca, bo ani się modlić, ani pracować, ani cierpieć godnie nie umiemy.

Czy ten ustęp należy do historji kołka w płocie, nie wiem, zdaje mi się jednak, że niejaki ma z nią związek, a choćby ni przypiął, ni przyłatał był przyszyty, czemuż nie ma mi być wolno wytłumaczyć się z niego, jak wy codzień powtarzacie: Jakoś to będzie...

Idziemy dalej...

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Wcale nie do rzeczy — o szlachcie... przedmiot unosi autora za daleko.

Ponieważ dąbczak rośnie powoli a my przez ten czas nie mamy co robić, sama zaś architektonika powieści zabrania nam nagłych skoków po lat dwadzieścia naprzód (chociaż się one trafiają u niektórych pisarzów), możemy więc wolną chwilą powędrować do dworu i poznać się bliżej z rodziną panów Rogalów Kijewskich, tu szczęśliwie na starych swych śmieciskach panującą.

Zapewne zarzucićby nam można, że nie ma w tej powieści nie tylko jedności akcji, ale nawet akcji samej, że się zbyt często epizodycznemi postaciami zajmujemy, z krzywdą głównego przedmiotu... lecz w historji takiego bezwładnego kołka czy nie więcej znaczą żywe figury, które na los jego przeważnie wpływają, niżeli on sam prawie? można-li je opuścić i pominąć?

Kołek wprawdzie rósł na łące Pakułów, ale Pakułowie siedzieli na ziemi panów Rogalów, i o ile kołek zależał od Charitona, o tyle Chariton zawisł od pana dziedzica...

Jesteśmy więc żelazną koniecznością zmuszeni zapoznać się ze dworem w Dębinie...

Na początku jużeśmy nieco powiedzieli o tej znakomitej rodzinie, która, nie wiemy jakim trybem, dochodziła protoplasty swego w owym sławnym Kiju, założycielu Kijowa, o którym dzieje mówiąc prawdę, nie wspominają żeby był herbu Rogala, ale komuż się nie trafia, nie pochodząc z tej rodziny, przypadkiem zostać jej członkiem? Nazwisko Rogalów Kijewskich mocno stwierdzało rodowód, przed Okolskim jeszcze stworzony w szczęśliwej chwili natchnienia przez klienta domu...

Od dziadów i pradziadów, Rogalowie owi byli niesłychanej zacności ludzie; bawili się zrazu, jak to dawniej zwano, rycerskiem rzemiosłem, potem jakoś je zarzucili, i nie wiem skutkiem jakich zmian, więcej już urzędowali, sejmikowali i w powiecie rej wodzili.

Ostatni z nich, który chodził w kontuszu, jeszcze szablę u boku nosił dla proporcji, ale jej już nigdy nie używał i tak mu do pochwy przyrosła, że gdy jej później w niewinnym celu oczyszczenia ze rdzy kredą dostać chciano, kuchta z chłopcem od kredensu we dwóch rwali, jeden za rękojeść, drugi za rapcie, i rączka tylko została w ręku kredencerza, a głównia na wieki w pochwach zastrzęgła.

Życie na wsi szło niezmiernie regularnie, spokojnie, porządnie, trybem jeszcze prastarym, uczciwie, poważnie, cicho, ale że samemi staremi posilało się pierwiastkami, nowych nie przyjmując, powoli stygło i biedniało. Pradziad panów Rogalów jeszcze, choć nie był konfederatem Barskim, głośno się popisywał pokrewieństwem z konfederatami i mówił, że jeździł na Wegry w poselstwie do rozproszonych... Dziad już na Grodzieński Sejm 1793 roku został posłem wprawdzie, ale na nim podpisywał co wypadło, nie wdając się w głęboki rozbiór rzeczy i powrócił do domu mocno przekonany, że nic nie pozostaje dalej jeno siać, żąć, Boga chwalić i cicho w kącie siedzieć... Był on później podkomorzym powiatowym i wsławił się obiadami raz w rok dawanemi w dzień swoich imienin, pod koniec których regularnie, wspominając stare czasy, wzdychano, płakano, kończono kielichem — kochajmy się! i rozjeżdżano do domów, w przekonaniu, że się coś ważnego dla kraju dokonało, powtarzając z wewnętrznem uspokojeniem:

— Jakoś to będzie!

Podkomorzy ów miał aż trzech synów: ci wszyscy poszli gospodarzyć i zajmować się rolą, a później rzeczy publicznej służyli w powiecie, jeden jako chorąży bez chorągwi, drugi jako prezes sądu, który nie sądził, trzeci jako marszałek, któremu inni marszałkowali w domu i kancelarji.

Ostatni był nawet twórcą znakomitej teorji, która się rozkrzewiła i przyjęła między bracią szlachtą: — on to pierwszy wyrzekł uroczyście, że głównym obowiązkiem szlachcica jest być egoistą i siebie zachować, gdyż na szlachcie leży przyszłość społeczności, ona jest naczyniem wybranem tradycji i bez niej świat by zginął niechybnie.

— Jeśli ja przepadnę, kraj przepadnie — mawiał często bijąc się w pierś szeroką — a zatem tu egoizm jest czystym patrjotyzmem, i pierwszym obowiązkiem siebie pielęgnować...

W życiu tego znakomitego statysty to także zwraca uwagę, że zbudowawszy teorje tak nową i piękną, potrafił do niej ściśle sie i logicznie zastosować, zostawując po sobie majątek znaczny i konsyderacje powszechną. On to od braci odkupiwszy Dębin, gdyż tamci pożeniwszy sie na fartuszkach poosiadali, rezydencję swą założył na ojcowskich progach, na starość odpoczywając, sprawując imieniny i myśląc o synu, który kubek w kubek udał sie w niego.

O nim nie wiele da się powiedzieć, chyba że się ożenił bogato, żył *procul negotiis*, marszałkował powiatowi lat dwanaście i raz nawet zastępował gubernskiego tygodni trzy i dni dwa, palił tytuń turecki z długiego cybucha i miał przysłowie: — *Chyba tego...* W majątkowych sprawach nie tak szczęśliwy, nieco sie zaszargał, ale te maleńkie dłużki wcale mu nie dolegały, a szlachta często po latach kilka nie odbierając procentu, nie krzywiła się nawet na Jaśnie Wielmożnego marszałka.

Z małżeństwa wielce szczęśliwego Bóg mu dał dwóch synów, zdrowych i dorodnych i jedną córkę...

Wychowanie tych dziedziców wielkiego imienia nie było zbyt wyszukane, gdyż marszałek utrzymywał, że szlachcicowi nie wiele potrzeba, a nauka dużo ludzi bałamuci. Wprawdzie uczono ich czytać, pisać i rachować, ale szkoły uważano za zbyteczne a nawet zgubne; i panicze w czternastym roku zaczeli jeździć na polowanie, w szesnastym stawali do kielicha jak starzy, a w dwudziestym byli już skończonymi ludźmi samą siłą

rzeczy; rozprawiali o wszystkiem o czem było potrzeba, sądzili nawet o czem nie koniecznie trzeba sądzić, a ojciec wraz z niemi najpewniejszy był, że uzdolnieni są zająć choćby najwyższe w świecie stanowisko: Szlachcic, według jego teorji znowu darem Bożym, *intuitive*, ma to sobie dane, czego inni mozolnie uczyć się i nabywać muszą.

Może to być wszelako trochę prawdą, gdyż codzień widzimy paniczów, którzy z najosobliwszą śmiałością porywają się do prawodawstwa, na urzędy, do spełniania wszelkich obowiązków, choć niby nic sie nie uczyli i nie umieją, zapewne ufni w tę siłę łaski, że im Pan Bóg, opiekujący się szczególniej stanem szlacheckim, głupstwa zrobić nie da.

Rzuciwszy więc wcześnie książki, któreby ich obałamucić tylko mogły, bo wszystko złe pochodzi z tych nieszczęsnych książek, oba marszałkowicze poczęli życie praktyczne, nie wiele zajmując się gospodarstwem, którem ojciec kierował, ale za to usilnie oddając się nauce żywota, badaniu serc ludzkich i piersi niewieścich, a wypróbowywaniu ile żołądek napoju i pokarmu, nie narażając się na niestrawność, strzymać może.

Starszy okazał nadzwyczajne zdolności do myślistwa, młodszy do frymarku końmi, tak, że choć ojciec nie wiele im grosza dawał, pierwszy ze skórek lisich, drugi z nieustającego handlu czwórką koni coraz inną, umieli się wcale nie źle utrzymywać. Złośliwi wprawdzie powiadali, że oba grali w karty śmiało i szczęśliwie, ale nie sądzę, żeby to im wiele mogło dopomódz.

W czasach, w których sie historja naszego bohatera poczyna, we dworze, oprócz starego bardzo marszałka, który pod piecem fajkę palił, żyli owi dwaj panicze, już dobrze pod wąsem i brodaci, córka, panna Adelaida, której się dotąd nie trafił żaden wielbiciel na serjo, mimo że wiedziano o pięćdziesięciu tysiącach, które po najdłuższem życiu ojca obiecywano, i kilku ubogich krewnych, zajmujących obowiązki koniuszych, leśniczych, rządzców i t. p.

Życie na wsi pracowitej a cacnej szlachty, jest

może najszczęśliwszem, jakie można wymarzyć, ale żywot tych biednych braci naszych, którzy założyli sobie wszelakiej pracy unikać, nie mógłby dzisiejszemu Rejowi jakiemu służyć za wzór do ideału człowieka. Szlachcic który pracuje, troska się, ponosi ofiary chętne, sercem dzieli się ze światem, życiem z krajem, myślą z ludzkością całą — wielkie zajmuje miejsce w dziejach społecznych, których jest średniem ogniwem. Nie każdemu wszakże dano pojąć posłannictwo i włożone na się przyjąć i spełnić.

Rogalowie mieli wcale inną zasadę i pojmowali sobie przeznaczenie i funkcję szlachty w sposób całkiem oryginalny, pewni naprzód, że szlachcica najświętszym obowiązkiem jest próżnowanie.

Powtóre, że szlachcic wszystko umie choć się niczego nie uczy i do wszystkiego jest zdolny, jak skoro pieczętuje sie starym klejnotem.

Potrzecie, że nie ma dlań ani za wysokich stopni, ani wyżyn niedostępnych.

Poczwarte, że obowiązkiem jego jest uczciwie i porządnie życia skosztować, a w żadną robotę nużącą, odbierającą siły i umysł wycieńczającą się nie wdawać.

Popiąte, że wąsy nosić powinien.

Byli to zresztą poczciwe chłopaki, dobrego serca, głowy wcale nie tęgiej, ale w towarzystwie ochoczych, z apetytem przykładnym, z gotowością, do spijania wszelakiej lury znakomitą, dla przyjaźni i komitywy nie wzbraniający się nawet upić; głosu i piersi potężnych, siły olbrzymiej, wąsów blond długości ciekawej...

Szukam cobym wiecej na ich zaletę mógł powiedzieć, a znaleźć mi już trudno... Rzeczywiście, bardzo byli poczciwi i tę im sprawiedliwość oddawali wszyscy, chociaż, gdy przyszło w rozbiór tej poczciwości i zalet się wdawać, nikt dobitniej oznaczyć nie umiał. Była to bowiem ta pospolita nieokreślona poczciwość szlachecka nasza, której pełno, bo każdy z nas jest tak sobie poczciwy.. czujemy, żeśmy wszyscy dobrzy, zacni, tylko dowieść i odkryć czem i jak, niepodobna.

Prawda że głupi, powiada jeden, trochę szachrajo-

waty, dodaje drugi, istotnie pijak i burda, mówi trzeci, próżniak i dziwak, woła inny — ale taki poczciwy! taki poczciwy!!!

Poczciwość tego rodzaju często się bardzo ogranicza ochotnem stawaniem do kielicha, podawaniem dłoni nie zbyt czystym uściskom, tolerowaniem cudzych błędów i dobrodusznością, która zakrawa na głupotę... zawsze to jednak poczciwość...

Moi panowie Rogalewicze głosem całego powiatu uznani byli za strasznie poczciwych, wprawdzie nie tylko prochu, ale kołnierza futrzanego do kurtki myśliwskiej by nie wymyślili we dwóch, wszakże lubiono ich powszechnie i mówiono o młodszym, że nie bardzo nawet głupi...

Oba naturalnie poczytywali sobie za najświętszy obowiązek nic nie robić... Marszałek dnie swojego żywota regularnie spędzał w sposób następujący:

Wstawał z łóżka około dziewiątej, wdziewał pantofle na bose nogi i z fajką zasiadał w zimie pod piecem, latem u okna, na medytacji głębokiej i przerywanej gawędzie z przechodzącemi, spędzając kilka godzin do drugiego śniadania. Często tak łapał pokojówkę idącą z żelazkiem do prasowania, lub chłopca ze szczotką, i rozpocząwszy z niemi rozmowę, godzinę całą nią się zabawiał, wyciągając zapewne wnioski filozoficzne z naiwnych odpowiedzi... Jeżeli potem trafił się sąsiad, grywano zaraz wista, aby czasu nie tracić, przekąsywano około południa, siadano do stołu o pierwszej, a kuchnia była smaczna i obfita. Po obiedzie, oczewiście strawność wymagała spoczynku, nie ruszał się więc i strzegł zajmować umysłu do herbaty, którą orzeźwiony, ciągnął dalej grę lub głębokie zamyślenie do wieczerzy. Trafiało się, że ekonom przychodził zasięgnąć rady jego, lub oznajmić, że rozkaz został spełniony, wtedy marszałek pił z nim kieliszek wódki i nie długo pogawędziwszy o gospodarstwie, odprawiał...

Następowała wieczerza, wist *iterum*, jeśli było z kim grać, lub kabała i rozmowa o powiatowych dziejach, a około jedenastej usypiano we dworze, pilnując ściśle

tej zasady, że przed północą sen najposilniejszy.

Na polu nigdy prawie nie bywał dostojny Rogala, chyba mu się trafiło wyjść na przechadzkę chłodkiem; w gumnach i na toku rzadziej jeszcze, w regestra nie wglądał mając pełne zaufanie w swych oficjalistach, książek nie czytywał, znajdując, że raz przeczytane na nic się nie przydały i za kosztowną były zabawką, słowem, jeśli pracował to tajemnie i w głębi duszy, a nikt go na zbytecznem wysileniu władz nie pochwycił. Jedynemi chwilami ruchliwszemi w jego życiu były zjazdy obywatelskie przedwyborowe, wybory, narady w których żywy brał udział przy śniadaniu i kontrakty miejscowe... Wpływ tego znakomitego człowieka był bardzo wielki w powiecie, znaczący nawet w gubernii; i domyślano się w nim trafnego instynktu potrzeb społecznych, chociaż wezwany do rady dawał ją na wzór Sybilli.

— Jakże, panie marszałku, wybrać tego?...

— Hm! wybrać! jeżeli... a gdyby... to i tak i... rozumiesz! — odpowiadał statysta — trzeba mieć wszystko na względzie... bo nawet w przypadku... pojmujesz... wszelako nigdy być nie może... ogólnie mówiąc... wiesz?

— Wiem, wiem! zgadzał się pytający choć nie domyślał o co chodziło.

— Rzecz ważna — ciągnął dalej stary — wszystko zależy od tego jak? otóż sęk!.. człowiek nie mówię, chociaż, ale nie byłem przeciw niemu, jednak zawsze z uwagą... przyszłość okaże... itp. itp.

Nie kleiło się to co mówił, ale badacze bieglejsi pod tą zasłoną słów poplątanych odkrywali sens jakiego im było potrzeba.

Syn starszy wymownego marszałka był, jakeśmy rzekli, z powołania myśliwym, i krom godzin poświęconych tej szlachetnej zabawie, życie pędził na kształt ojca; młodszy mocno się hipologją zajmował, bułankami i pstrokaczami, nie zamęczając się żadną pracą niewłaściwą.

Oba tylko, jako młodsi i żwawsi od ojca, częściej

wyjeżdżali z domu, ocierali się o ludzi i przez nich do starego dworu w Dębinie przychodziły wiadomości ze świata oddaleńszego, które też przynosił niekiedy arędarz, czasem ekonom. Stary Rogala był dosyć ciekawy i rad pasł się nowinką, którą mógł parę dni przeżuwać.

— Historje na Wschodzie — mawiał posłyszawszy od Icka, że trzy tysiące okretów angielskich przypłynęło do Konstantynopola — co to za komplikacja!... gdyby tego... ale nie, owszem jeszcze... rozumiesz! ważny wypadek! jeżeli zajmą... kwestja... jeżeli nie... kwestja; jeżeli tego, to ten, a nie inaczej! rozumiesz?..

Każdy naturalnie odpowiadał że rozumie, żeby ciemniejszego jeszcze nie wywołać tłómaczenia.

Kto właściwie rządził sprawami majątku w Dębinie i myślał o przyszłości, odkryć nie było można; kluczyki od kasy były przy marszałku, a ten w trudnych razach powtarzał *more antiquo* — jakoś to będzie. — Synowie spuszczali się na ojca, ojciec dużo na *jakoś*. Gospodarstwem wielowładnie rządził ekonom dawnego kroju, wąsaty i przy batogu zawsze; apteczką i kuchnią panna Adelaida, lasami pan Wincenty, stajnią pan Jakób, a wszystkiem razem chyba Pan Bóg. Nie szło to ani zbyt źle, ani nadto dobrze, czasem, przypadkiem rodziło siano rozmaicie, trafiało się że i pośladkami, sprzedawano żydkom gdy nacisnęła potrzeba, robiono maleńkie dłużki i tak się sobie ciągnęło z dnia na dzień, aby dalej do końca, aby dzień do wieczora...

Ludziom wiejskim nazbyt źle nie było: ekonom, chcąc ich mieć po sobie, folgował, pan utrzymywał że z nich skóry drzeć nie należy, bo i to są ludzie (z czego widać że nie bardzo nad ich stanem i położeniem się zastanawiał) — panicze mieli swoich faworytów i ulubienice we wsi, słowem, nie stękano tam bardzo — ale przykład zawsze jest zaraźliwy.

Że we dworze nie bardzo myślano o przyszłości i nie troskano się o jutro, we wsi też także mało kto pracował, opuszczali się i wieśniacy.

W karczmie szedł szynk doskonale, wódka rozprze-

dawała się wyśmienicie, ale pola bywały nie pozasiewane na zimę i zapasów w stodołkach nie znalazłeś. Nie przymuszano nikogo nawet ku dobremu, a jedno tylko zuchwalstwo, ekonom, przestrzegacz porządku i minister spraw wewnętrznych, karał surowo, innym małym wybrykom folgując.

Moglibyśmy tu jeszcze skreślić obraz dodatkowy rezydentów Dębina i drużyny dziedziców, ale nie widzimy potrzeby dłużej się nad temi epizodycznemi postaciami zastanawiać; co czytelnikowi sumienności naszej dowiedzie, bo rezydenci na parę rozdziałów jeśli nie więcej rozłożyć by się mogli. Słówko tylko o pannie Adelaidzie. Miała ona w tych czasach lat z górą dwadzieścia, twarzyczkę dziwnie piękną, oczy czarne prześliczne, uśmiech łagodny i czoło zamyślone. Wychowanie jej nie było bardzo staranne, wszakże miała jakąś madamę, która pierwej niż katechizmu nauczyła ją po francuzku i na fortepianie... Były to dwa przedmioty głównie wymagane dla Rogalanki, bo chodziło o to, żeby w towarzystwie pokazać się na równi z innemi mogła, a nie o to czem być miała.

Po francuzku nauczyła się też trochę i dosyć źle, prawdę powiedziawszy; na fortepianie grała kilka mazurków, jednego walca księcia Reichstadt i poloneza Ogińskiego; ale mimo że się jej wychowanie nie wzięło, głową i rozsądkiem całę przechodziła rodzinę.

Ojciec i bracia w ciężkich razach uciekali do niej po radę, umiała i osądzić i odezwać się, i domyśleć i poznać się na człowieku. Dobrego serca, szlachetna, miła, w domu tym osamotniona, zawczasu posmutniała biedna i żyła w swym pokoiku z kilką książkami, z modlitwą i dziewiczemi dumami swemi. Goście widywali ją u stołu, przy herbacie, a ojciec i bracia pozbywali się jak mogli najprędzej, aby swobodnie po kawalersku puścić wodze mowie i ruchom... Pomimo wielkiej piękności, która ściągała oczy w kościele, wyrazu dobroci i smutku, mającego urok dla wszystkich, nikt dotąd o pannę Adelaidę się nie starał. Wiedzieli sąsiedzi o pięćdziesięciu tysiącach a razem i o tem, że marszałek za

łada hetkę córki nie wyda. Życie jej płynęło cicho ale smutnie, jednostajnie, powoli, a kwieciły je nadzieje i sny o kimś, o czemś, o tych królewiczach z za morza jak w bajce... Więc się śpiewało, śniło, czytało trochę, marzyło, a gdy nie wiele miała do czynienia, powracało się do ulubionych książek kilku i z nich dosnuwało co życiu brakło.

Ojciec i bracia kochali Adelaidę bardzo, ale ją widywali rzadko i w jej towarzystwie nie znajdowali przyjemności. A trochę się surowych obawiali sądów.

Marszałek siedząc pod piecem i poglądając na krzątającą się córkę, dziwił się czasem, dla czego dotąd się jej nikt nie trafił, ale się tem pocieszał, że i jemu taka gospodyni była potrzebną.

— Na wszystko jest czas — mówił — jeszcze młoda, znajdzie się kupiec i na ten towar...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

O łące, o pannie Adelaidzie i głupim chłopaku.

Tymczasem rosnął dąbczak, a z Sacharem bieda była w domu, bo taki niesposób napędzić go do porządnej pracy.

Uważano nieraz, że w czasie, gdy ekonom dawał mu nauki moralne, ziewał i patrzał na ptaki, które się zwijały w powietrzu, jakby o nauce i ekonomie nie myślał — wyrokowano więc z tego, że zginie nieszczęśliwy i nigdy nic z niego nie będzie. Z dnia na dzień jakoś szło gorzej a byli i tacy, co twierdzili że mu się w głowie pomieszało.

Czasem, wziąwszy swoją skrzypkę pod pachę, jak poszedł z domu, nie powracał aż wieczorem lub nocą. Myślałby kto, że (zwyczajnie muzyka) grał gdzie na weselu albo w karczmie i zarabiał! Gdzie tam — uchodził w las, na tę łąkę, siadał sobie na pniaku i zagrywał się, aż mu łzy z oczów biegły a policzki się paliły. Niktby się tego nie domyślił nawet, gdyby ktoś nie przydybał go trafem na tem szczególniejszem zajęciu.

Nieopodal od łąki, która pasem ciągnęła się przez wzgórek, z jednej strony szła drożyna, wiodąca do miasteczka wąwozami i parowy wśród zielonego lasu, z drugiej, gdzie wzgórze zniżało się ku leśnej łące pańskiej, płynął ruczaj do stawów.

Nieco się spuściwszy ze wzgórza od Pakułowszczyzny ku tej dolinie, oko widokiem nacieszyć się nie mogło, taki to był śliczny obrazek. Z jednej i drugiej strony wielkiej łąki, między dwoma wzgórzami jak zielony kobierzec rozesłanej, wznosił się na bokach wyniosłości las dębowy i brzozowy wdzięcznie, tak powykrawany, tak strojny w drzewa, poprzechylane zalotnie, pogięte

lub dziwacznie i malowniczo poodzierane z kory, że się go napatrzeć było trudno do syta. Młody gaj szczęściem jakiemś z brzegu przynajmniej był zaszanowany, a wśród nowego pokolenia przepyszne dęby prastare, rozłożystemi konary patryarchalnie się rozpościerały.

Środkiem łąki pańskiej, która wiosną ubierała się w kwiaty, jak dziewczyna na wesele, płynął ruczaj dosyć szeroki i czysty, który mógł za rzeczkę uchodzić, tak przyzwoitą miał powierzchowność i obfitość wody ze źródeł, które go poiły. W ogólności, grunt otaczający był gliniasty, ale środkiem łąki łożysko ruczaju dziwnym trafem całe wysłane było piaskiem żółtym i tak przejrzyste, że żaden kamyczek na dnie się jego nie ukrył. Brzeg nie był zbytecznie stromy, łąka sucha, woda czysta, w całym Dębinie lepszej jak tu nie znalazłeś kąpieli. Gdzieindziej ruczaj gniłe przepływał trzęsawiska, lub niedostępny stawał się od brzegów, wodę miał mętną i głąb mulistą, tu jakby naumyślnie dla ludzi na kąpiel przygotowany, zachęcał do niej i wabił. Najpiękniejsze kwiaty rosły na jego brzegach, najcichszy las go otaczał i z ustroni tej ciężko było wyjść, tak czarownym opasywała kołem.

Latem też wszyscy tu ze dworu do kąpieli przychodzili. Było miejsce, którem znijść do wody mógł najbojaźliwszy wygodnie, był pagórek suchy, na którym suknie składano a nieopodal dąb stary z darnem i mchami dla spoczynku. Z wierzchołka Pakułowszczyzny, siadłszy na kłodzie, którą Sachar ulubił, widać było przez gałęzie brzóz pozwieszane, w dolinie łąkę, ruczaj i w ramach zielonych zamknięty ten obrazek leśny, ozłocony gdzieniegdzie promieniami słonecznemi, biegającemi po łące... zakradającemi się w głąb gaju.

Że miejsce to dosyć było od dworu i wioski oddalone, rzadko tam kto przychodził, chyba dla kąpieli i na robotę, a Sachar mógł swobodnie dumać na kłodzie i na skrzypce sobie przygrywać. Nieraz, przejeżdżający gościńcem opodal, zdumiewali się słysząc wśród lasu tę muzykę zapalczywą, którą echa wzgórzów i gajów

roznosiły daleko, a cisza oblewała nadzwyczajnym urokiem.

Sachar też nie grywał jak inni do tańca, ale czego wyśpiewać nie mógł, to sobie na skrzypeczce wybierał, a znać mu tam w duszy grało smutnie, bo piosnki jego wszystkie nie były wesołe. Nauczyć się ich nie mógł od nikogo, bo podobnych nikt na wsi nie umiał, nikt nie znał w okolicy, ale każdy znać człowiek przychodzi na świat z pieśnią jakąś. Tylko jeden ją wyśpiewa, drugi wypowie, trzeci wygra, a w innym zamrze ona na wieki wieków, nie mogąc się z niego wydobyć

Sacharowi dziwną grało w piersi tęsknicą a gdy począł pieśń swoją, kto słuchał jej zadumać się i nie wiedząc czego, aż czasem zapłakać musiał. On sam nieraz miał łzy w oczach i na skrzypeczce... a co ich tam być musiało w duszy!!!

Jednego lata... w dni gorące lipcowe, nad wieczorem, panna Adelaida z towarzyszkami dwoma wyszła ze dworu na przechadzkę. W drodze namyśliły się iść do kąpieli powoli, o zachodzie dostały się na łąkę do ruczaju. Z dala już doszedł ich jakby śpiew oddalony a tak miły i rzewny, że panience na westchnienie się zebrało... bliżej podszedłszy, poznały, że ktoś na wzgórzu grał na skrzypcach. I stanęły i słuchały długo, długo, aż wreszcie chłopak dokończył żałobnej piosenki i ustał. Panna Adelaida łzy miała na oczach. Oglądały się bacznie dokoła, żeby dojść kto tak pięknie a dziwnie przygrywał wśród lasu, ale nie postrzegły nikogo. Domyślić się wprawdzie było łatwo, że wieśniak grać musiał, bo pieśń nie była uczona, ani wędrowna i obca, ale choć nowa, niby kwiat z gruntu rodzinnego, wyrosła z piersi przebolalej i czułeś że swoja.

Ale wprędce wiatr rozniósł dźwięki ostatnie i ucichło się w lesie, a Sachar rzuciwszy skrzypkę podparł się łokciami i zadumał wpatrzywszy w dolinę. Nie widać go było zdaleka, ale on zobaczył niepostrzeżony z wysoka przybywających do ruczaju.

I pierwszy raz w życiu przypatrzył się naówczas

panience, którą dotąd tylko w powozie zdaleka spotykał, nie tyle jeszcze jej, jak jednej z towarzyszek przyglądając się ciekawie.

Było to dziewcze niedorosłe jeszcze, dziecię prawie, z czarnemi oczkami i długiemi kosami ciemnych włosów, spadającemi na ramiona, tak piękne, tak piękne jak chyba aniołki na obrazach bywają, a szło podskakując i podśpiewując jak młoda sarneczka, i ilekroć usta się jej uśmiechem otwarły... Sacharowi zdawało się, że się niebo otwiera...

Dziwnież bo, dziwnie piękną mu się wydała jakby nie ze świata była rodem, a gościem z niebios zstąpiła na ziemię. Chłopak nie wyobrażał sobie, żeby równie piękna istota na świecie znaleźć się mogła... osłupiał, zdumiał się i przykuty pozostał póty póki dziewczęta bawiły się na łące.

Słyszał ich śmiechy, przypatrywał się swawoli towarzyszek i obraz ten pozostał w myśli jego na wieki. Wiedział, że to była sierota ze wsi, wychowanka pani, i nie zdawało się dziwnem, patrzeć na nią z zachwyceniem, jak poglądał na niebo, gwiazdy i kwiaty. Nie prędko po odejściu kobiet powlókł się ze swoją skrzypką do domu, i długo w noc zasnąć nie mógł, Bóg wie jakimi ścigany marami.

Mówiono, że się później zakradł do dworu i z po za płotu godzinami patrzał na przechadzające w ogrodzie dziewczęta, ale to być musiały plotki tej starej brzozy, której baśnie przynosiła sroczka jakaś o gniazdo się jej przypochlebiając.... nikt więcej o tem we wsi nie wiedział.

To pewna, że Sachar coraz mniej miał ochoty do pracy, coraz więcej po lasach się błąkał i mimo dziada i ojca upomnień do gospodarstwa się nie zabierał.

W każdym innym stanie wolno, mniej więcej, być dziwakiem, ale naszemu chłopowi! niepodobna; nazwano go postrzelonym i głuptaszkiem i miano nawet za łagodnie i nieszkodliwie pomięszanego. Do dworu wreszcie doszła o tem wiadomość, a ekonom ubolewał, że tak silnych i zręcznych rąk dwoje marniały nada-

remnie bez zastosowania do gospodarstwa.

— On tu nam na nic prawie nieprzydatny — mówił — no! to go dać do wojska! Że przyjmą, nie ma najmniejszej wątpliwości... i gromada będzie rada i dwór na tem nie straci, a w chacie tak z nim jak bez niego.

Sachar nie domyślał się co mu groziło!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Trochę o kołku, i o ludziach trochę.

Dąbczak tymczasem wciąż sobie podrastał spokojny, z każdym rokiem nabierając siły bezpieczniejszym się czuł od sąsiadów, burzy i siekiery nawet, która go musiała szanować, bo z niego jeszcze nie mogła sobie obiecywać korzyści.

Wicher mu nie był straszny, gdyż giętka latorośl chyliła się do ziemi i w górę wracała wesoło, chwasty jej zagłuszyć nie zdołały... przyszłość obiecywała się długą i świetną... dąbczak marzył o wiekach długich i rozsianiu do koła swojego rodu. Nawet zazdrośne pniaczki okoliczne patrzały nań z uszanowaniem, jakie wzbudza siła i wiara w przyszłość. Zrazu niewidoczny wśród gęstwiny, wybił się nasz bohater nad poziome tarna i krzewy, tak że zwrócił uwagę Charitona i co dziwniejsza podobał się roztargnionemu Sacharowi, który tam często przychodził. Przyznacie mi, że w lesie, aby oczy ludzkie ściągnąć na siebie i wyróżnić się z tłumu, przynajmniej tyle potrzeba zręczności i zasługi co na naszym świecie. Kto wie nawet czy przykutemu do miejsca drzewu nie trudniej dobić się pewnego znaczenia, niż kancelarzyście bez protekcji wyjść na Radcę Stanu? Dąbczak wszakże był tak piękny, tak obiecujący, tak żwawy i silny, że nietylko Chariton go zobaczywszy naznaczył sobie w pamięci, ale Sachar, często przebywający w lesie, polubił tę latorośl bujną i w chwili weselszej ręką go własną oczyścił w około od otaczających niemiłych sąsiadów.

— Co też to z ciebie będzie? rzekł w sobie obłamując tarna — belka na okręt? czy klepka do beczki, socha do stodoły chłopskiej, czy tram do pańskiego

dworu, tarcica do szpichrza, czy denko do jakiego wiadra.... czy tylko polano na komin? ale ci to jeszcze długo rosnąć i zielenić się nim cię ztąd zabiorą... długo żyć uspionemu nim się przydasz •na co? Któż wie, może potem burza powali i zgnijesz bez użytku wśród chwastów, a mrówki rozniosą pyłek twój na swoje maluczkie budowy...

To mówiąc, w duchu począł śpiewać smutnie, nie wiem, o dąbczaku czy o sobie...

Biedny chłopiec, nie wiedział pewnie że i jego losy ważyły się także na szali i wkrótce dziwnie miały rozstrzygnąć. Szczęściem, gdy wieść głucha po wsi przebiegła o nowym do wojska zaciągu, pierwsza ją Sacharowa matka pochwyciła gdzieś na drodze i nim ze dworu wyszły rozkazy brania, serce matki przeczuło, że syn być musi na spisie.

Właśnie chłopak z boru powracał, gdy mu u stodółki, za wsią na polance stojącej, zabiegła drogę Wasylisza.

— Dziecko moje — zawołała niespokojna — oto groszy kilka, oto torba z chlebem i twoja skrzypka, bez którejby ci pewnie było tęskno, choć po niej znowu prędzej cię poznają... uciekaj... uciekaj... bo cię wezmą do wojska.

Sachar cofnął się przestraszony.

— Przeciem ci u was jedynak... jakże mogą mnie wziąć?

— Ja wiem! ja czuję! była tam mowa o tobie, potrzeba uciekać — rzekła matka ściskając go.

— Hej! hej! — odparł Sachar — a na cóż uciekać, poszedłbym służyć, świata zobaczyć i powróciłbym do was potem.

— Lub zginął na wojnie! A nie żal-że by ci było i matki i ojca i nas wszystkich!!! porzucić na długie lata! może na zawsze!...

— Prawda — rzekł chłopak — o! żal-by mi było, ale i uciec to trzeba was porzucić... gdzie pójść? co począć?

— W lesie możesz się ukryć przez złą godzinę, gdy

się uspokoi i naszych oddadzą, powrócisz...

Potrzeba było uchodzić. Sachar nie miał ochoty ni siły, przywykły do wioski i maleńkiego kółka, w którem się obracał, myślał, jak sobie pocznie na szerszym świecie, gdzie pójdzie, nawet jak ukryć się potrafi!

Matka ściskała go, przytrzymywała i odpychała razem, pędząc w las, żeby go kto nie zobaczył, przyspieszając odejście i nie mogąc rozstać się z jedynakiem, a prosząc by uchodził i przestrzegając, żeby nie odbiegł daleko.

Szeptem niewyraźnym pożegnała go biedna i uszła oglądając się za nim, a Sachar został, nie wiedząc dokąd się zwrócić, instynkt źwierzęcia gnanego wpędził go do lasu. Nagle przyszło mu na myśl oddalenie od Dębina, nieznani a straszni ludzie, niewola, praca, przymus... i przerażony począł coraz żywiej uciekać, pędząc ku znajomej polance.

Im konieczniejszą widział ucieczkę, tem srożej bolało go serce za domem, ojcem, siostrami, nawet psem, swobodnie i wygodnie wylegającym się na przyżbie. Cały uznojony i niepokoju pełen, przybiegł na Pakułowszczyznę i padł spocząć pod dębczakiem na ziemi.

Dotąd dlań życie szło smutno i jednostajnie, ale nie grożąc mu zmianą, która do gorszego prowadzić mogła — nagle widział się zastraszony nową jakąś dla siebie przyszłością przerażającą i poczuł, że spotkać się może z większemi boleściami nad te, których doznał w życiu. Ale zarazem zaświeciła mu błyskawicą myśl, która już nawiedzała go czasem... polecieć w świat! spróbować szczęścia, wyrwać się z chaty, która go przykutym trzymała... posłyszeć inną mowę, zobaczyć nowych ludzi.

I serce go ciągnęło nazad ku wiosce, a głowa i mary naprzód popychały...

— Uciekać! zostać! — powtarzał — no to uciekać i bywajcie mi zdrowi... w świat! a co będzie to będzie! Nie jeden chodził i powrócił, czyżbym ja miał być nieszczęśliwszym od innych? Niech i ja białego skosztuję chleba i biały świat zobaczę!

Wstał, przeżegnał się i poszedł kilka kroków. W tem tęsknota jakaś ogarnęła mu serce i ścisnęła piersi. Nie widzieć tych twarzy kochanych, które się witało co rano, nie słyszeć głosów przyjaznych, nie czuć woni dymu wiejskiego i woni lasów Dębina i zbłąkać się wśród obcych.

I szedł tak i stawał myśląc, a wciąż uparta ciekawość odsłaniała przed jego oczyma dalekie strony, lepsze życie, weselsze krainy i swobodniejszą pielgrzymkę... a pokusy wolności migotały przed oczyma chłopaka, który nigdy nie miał jej zadość.

— Więc pójdę — powtórzył — ale nie w las kryć się z wilkami póki burza nie przeminie; powędruję dalej, zobaczę... a jak mi tęskno będzie, zawsze czas do chaty powrócić!

I błądząc tak po lesie znajomemi sobie ścieżynkami, Sachar wszedł na wysoką górę, która panowała w okolicy... Z niej widać było po za pasem lasów stary dwór Dębina i wioskę wyciągniętą nad stawem i sady, wśród których bielały gdzieniegdzie ściany chat wieśniaczych.. Dostrzegł gruszy znajomej w podwórku, poznał dachy i stodółki, w której młócił, wiśniowy sadek i loszek i na łzy mu się zebrało nie męzkie... Stał tam długo i patrzał, na odchodnem chcąc zapamiętać okolicę, którą miał pożegnać na długo, a w myśli po kolei każdemu słał pokłon serdeczny... dziadowi, ojcu, matce, siostrze, maleńkim dzieciom, czarnej krówce i staremu psu podwórzowemu.

— Bywajcie zdrowi! bywajcie zdrowi... tęskno mi było z wami, tęskno mi po was będzie... ale chyba żyw nie będę, jeżeli do was nie wrócę!...

W tem mgła od stawów zakryła wieś w dolinie i chłopak zszedł z góry smutny, puszczając się gdzie oczy poniosą.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Jak dąbczak kołkiem został i co się potem z nim działo.

Gdy się to dzieje we wsi, we dworze niemniej stanowcze przygotowują się zmiany.

Pan Wincenty Rogala, ów zapalony myśliwiec, jeżdżąc po polowaniach w sąsiedztwo, poznał pannę Dorotę Górnichowską, jedynaczkę i dziedziczkę dwóchkroć sto tysięcy gotówki; na wiadomość o jej posagu mocną się rozpłomienił ku niej miłością, począł usilnie starać, oświadczył, został silnie przez przyjaciół poparty, przez dziewicę przyjęty i w towarzystwie ojca zawiózł jej zaręczynny sygnecik prababki...

Małżeństwo to jednak nie przyszło, jak wszelkie w świecie ważne i wielkie wypadki, bez przełamania trudności, które mu na drodze stanęły. Skład dworu w Dębinie czynił je dla obu stron bardzo ciężkiem; panna Dorota mocno się zastanawiała nad tem, jakie zajmie miejsce obok panny Adelaidy, przy starym marszałku i mężowskim bracie, panu Jakóbie... Uczucie własnej godności nie dozwalało jej cichego i potulnego zająć stanowiska, wnosząc aż dwakroć gotówki, dzielić władzy z panną Adelaidą nie mogła, odebrać ją od niej nie wypadało. Brata pana Jakóba można było spłacić, uściskać i pozbyć się; ale marszałek stary, siedzący pod piecem i nie puszczający z rąk rządów państwa, był przeszkodą i zawalidrogą nie małą...

Panna Dorota, acz dosyć śmiała i pewna siebie, nie bez wewnętrznego uczucia bojaźni rozpoczynała kampanją, z której choć spodziewała się wynijść zwycięsko, nie kryła przed sobą jej trudności. Uśmiechało się jej wszakże panowanie w starym dworze Dębina, i nazwisko panów Rogalów, i inne prerogatywy przyszłego stanu...

Stanęło tedy w przedślubnych umowach, że marszałek miał synów obu wyposażyć, że Jakób spłat otrzymywał z posagu pani Wincentowej, Adelaida zostawała przy bracie, a marszałek sam z pod pieca w Dębinie miał się przenieść do małego folwarku, który sobie ekscypował...

Na pozór to wszystko najmniejszego nie ma związku z losem naszego dąbczaka, nie prawdaż, najmilsi czytelnicy? Otóż mylicie się najokrutniej i żal mi was, że tak mało znacie świat i dzieje! Wszystko się z sobą łączy, plecie, krzyżuje, i koniec końcem nie trzeba się dziwować gdy brzęk muchy sprowadza upadek kraju, lub ożenienie szlachcica śmiercią grozi drzewu w lesie. Świat stoi na cudach, tylko my ich nie widziemy, a przywykliśmy tłómaczyć sobie zawsze gorąco słońcem i wilgoć wodą, gdy często i skwaru i mokroty przyczyny niewidzialne niewiedzieć gdzie się kryją.

Stało się tedy, że pan Wincenty żenił się z panną Dorotą, a z powodu tego musiano obejrzeć w Dębinie dwór, zabudowania, wszystko co mogło długiem zniszczeć zaniedbaniem, aby nowa pani zbyt złego wyobrażenia o Rogalach i ich gospodarstwie nie miała. Chodząc po kątach, pan Wincenty podobno pierwszy raz spostrzegł nadzwyczajne wszędzie opuszczenie... Dachy zaciekały w każdej budowli, ściany się paczyły, ogród, oprócz kawałka panny Adelaidy, zarastał chwastami do pasa i płoty gdzieniegdzie się waliły wraz z podporami, którym już sił brakło by je trzymać dłużej. Pan Wincenty nie był takim pedantem, żeby wymagał poprawienia tego co nie biło w oczy i w kącie sobie gniło lub waliło się, nikogo nie gorsząc, ale na samym wjeździe, od drogi wielkiej, kawał ogrodzenia od sadu wszetecznie się wywrócił, leżał na ziemi na wznak i bydło tamtędy chodziło między drzewami świeżego używać powietrza... Ekonom zgromiony klął się, że dopiero ostatnia burza zrobiła ten wyłom kompromitujący, który już miał być poprawiony, gdy go nowy gospodarz zobaczył. Co najprędzej rozkazano załatać dziurę i nazajutrz dziesięciu ludzi otrzymało polecenie

jechania do lasu dla przywiezienia kołków i chrustu.

Między tymi dziesięcią mieścił się znajomy nam Chariton Pakuła, którego podobno dla tego z chaty oddalić chciano, aby łatwej dostać syna przeznaczonego na żołnierza... ale ten już powoli w szeroki świat wędrował.

W chwili więc kiedy w lesie jak najmniej się spodziewano siekiery, pogodnym rankiem letnim, dziesięciu ludzi zbrojnych w nie wjechali, w głębokie ostępy i rozpoczęli rzeź okrutną młodzieniaszków niewinnych.

Nasz Pakuła pomiarkował, że nieźleby było zarazem sobie łąkę oczyścić, i udał się na swoją smugę, przypominając, że na niej nieco kołków znaleźć się może.

Słońce świeciło jasno, wiater powiewał ciepły, liście drzew w cieniu okrywała jeszcze rosa perlista, i maluczkie pączki otwierały się do życia, gdy nagle, wśród ciszy szmerem tylko rozmawiających przerywanej gałęzi, rozlegał się złowrogi łoskot siekiery i chrzęst padających drzewek.

Chariton zamyślony przeszedł łączkę swoją, rzucił okiem po drzewinach puszczających się na jej skrajach, i postrzegłszy dąbczaka wesoło strzelającego w górę a już przyzwoitej grubości na kół w płocie, nie czekając ciął go od ziemi i dwoma razami obalił. Wypadek ten, niszczący wieków nadzieje w zarodku, stał się tak nagle, przyszedł tak niespodzianie, że biedny dąbek nie poczuł prawie boleści gdy się ujrzał z żywej istoty przemienionym na martwy kawał drewna.

Co się z nim działo w chwili gdy gałązki jego dotknęły traw i liście drgnęły poszarpane... nie wiem... ale zdaje mi się, że to coś było podobnego do konania.

Inaczej wszakże dzieje się z drzewem niż z nami: z człowieka wybiega dusza, wylatuje duch, ostyga ciało i wszystko się kończy w jednem oka mgnieniu; drzewo ścięte przestaje rosnąć, ale czuć i chorobliwie biednie konać nie przestaje, póki się w próchno nie roz-

sypie. Ale z swobodnej latorośli, która co roku grubiała, co wiosnę puszczała listki, pracowała na pączki, siliła się na korzonki, patrzała w słońce i piła rosę perlistą, zimny zostaje kołek, kloc, drewno, które sobą nie włada, któremu nic nie przybywa, istota bierna i nieszczęśliwa, krajana, strugana, cięta na kawałki, oczekująca cierpliwie póki się nie rozsypie w próchno.

Nasz dąbczak nagle położony na ziemi, obcięty ze swoich młodych gałązek, poczuł że mu odrąbano głowę, że go oddzielono od korzeni któremi łączył się z matką ziemią, że się stał czemś uciętem, bez związku ze światem — i na chwilę zamarł z boleści.

W lesie sprawiło to taki skutek, jaki czyni na świecie upadek człowieka, któremu jedni wiele prorokowali, drudzy zazdrościli wiele... zaszumiały gałęzie, ruszyły się konary, wzdrygnęły trawy, ale przyznać musimy z żalem, że tu także jak między nami nikt nie pożałował biednego, a każdy wewnętrzną poczuł radość, ż ten los spotkał sąsiada nie jego... .

Brzoza pochylona przechyliła się niżej jeszcze żeby smutnemu upadkowi dąbczaka przypatrzeć, osiczyna zaskrzypiała tryumfująco, tarny zadygotały z radości a jedna sośninka tylko smutnie spojrzała na biedaka, zadrżawszy o własną skórę.

Nie śmiemy malować stanu serc i umysłów łopuchów i ciemierzyc, łozin i różnego tałałajstwa, które rosło dołem; tam prawdziwie gorszące były szelesty zwycięztwa, urągowiska i śmiechy... Łopuch się rozpiął szeroko i prychał z radości, ujrzawszy nieprzyjaciela na ziemi, ciemierzyca jak pijana się zataczała, trawy choć pogniecione szalały, zielone dobywając główki...

W jednem mgnieniu oka rozeszło się to po lesie, jak wszelka zła nowina rozbiegać zwykła, gałęź podawała gałęzi, liść liściowi, i z wierzchołka na wierzchołek przelatując, poleciała aż do starych dębów praszczurów, które zimno i filozoficznie ją przyjęły.

Sosenka była smutna... straciła przyjaciela; stary pień, z pod którego dobył się wyrostek, ani drgnął — próchno mu serce wyjadło...

Tymczasem istota, co lat kilkadziesiąt powoli rosła i z niczego się budowała, pyły zbierając w powietrzu, ziemi, świetle i rosie w którą się odziewała — jednej chwili złamana żyć przestała, Chariton obojętną dłonią rzucił ją na wóz stojący blizko, na którym już podobnych owemu kołków spora leżała kupa.

Mieszkaniec lasu spokojny, znalazł się nagle w towarzystwie obcych zbolałych jak on istot, najróżnorodniejszego pochodzenia i natury.

Nie same tam dębowe znajdowały się kołki, było ich dosyć osikowych, były grube laski leszczyny, ba i gorsze jeszcze, ale to wszystko teraz w świętej równości i braterskiej biedzie z daleka wydawało się jakby jeden kołek pomnożony przez... wiele chcecie.

Nikt poznaćby nie potrafił szlachetnego dębu, wielkich nadziei od leszczyny staruchy, która nigdy do większej czci nad kołek wzdychać nie mogła, i osiczyny od grabu, co stękał, że mu życie odjęto nim się zdał na zęby do młyńskiego koła...

Na wozie Charitona leżało to jedno obok drugiego, bez różnicy klassyfikacji, jak na cmentarzysku co los postanowi.

Wszyscy nieszczęśliwi jednak pocieszali się tem że kołkami nie palą, i że im trochę życia lichego zostanie jeszcze, a wierzbina śmiała się szydersko z współbraci, zaręczając, że puści nowe korzenie i zawsze drzewem zostać potrafi, czemu inne wiary dawać nie chcieli.

Szlachetniejsze owe drzewka, raz wyrwane z ziemi, na której wzrosły, już do innej przywyknąć i w niej nowego życia rozpocząć nie mogły, filozoficzna i trochę rozłajdaczona wierzbina, byle jej wilgoci nieco i gliny, w błocie czy na piasku, czy na czarnoziemiu, umie się wkorzenić i nie tęskniąc za staremi korzonkami, nowe puścić.

Jest to w naturze drzew co u ludzi: jedne miłują tak swoją ojcowiznę, że w niej tylko im dobrze, drugie byle jamka i dołek, jakie takie życia warunki, gotowe wegetować i w gnoju... Do ostatnich należy właśnie wierzba, której każda gałęź, ledwie od ma-

cierzystego pnia odrąbana, zaraz sobie sama gospodarzyć i zielenić się zaczyna.

Trafia się i innym kołkom, że w pierwszej chwili boleści walcząc o życie puszczą liści kilka, ale nim jesień te zwarzy, same one powiędną... Suchy potem kij sterczy już tylko nad ziemią obcą, z którą się pogodzić nie mógł.

Narąbawszy wszelakiego drzewa, Chariton pojechał powoli do dworu...

A że słońce było wysoko i lękał się, by go wcześnie wracającego po drugą furę nie wyprawiono, na skraju lasu z wozem stanął w trawie i długo pasł konie. Nasz kołek leżał nie pewien jeszcze jaki go los spotka, niektórzy z towarzyszów jego pessymiści utrzymywali, że choć cienkich wrzucą ich na ogień i spalą; inni protestowali, oczekując rychło się znowu wóz ruszy.

Słońce już było nad zachodem, gdy Chariton dźwignął się z ziemi, konie pozakładał i pomalutku pociągnął ku wsi drogą... Tu go spotkała Wasylissa, oznajmując mu, że synowi znać dała aby uciekał... że Sachar już był w lesie. Ale nie długo mówić mogli z sobą, obawiając się aby ich narady nie podpatrzono; ojciec powinien był udawać, że nie wie o ucieczce syna.

Nareszcie o mroku wóz podjechał pod wygniły płot ogrodowy i tu, obok innych kilku, fura kołków wyrzuconą została na ziemię...

Wszyscy się wielce ucieszyli.

Losem nasz dąbczak upadł tak, że dotknął dębowego także ale starego kołka, oplecionego zeschłym chrustem dawnego płotu... i na widok losu współbrata zadrżał...

Kto wie, czy nie lepiej było zostać na ogień wrzuconym, spłonąć i od razu w popiół się obrócić! W istocie, stary kół ów w najopłakańszym był stanie... leżał na ziemi wilgotnej, obalony od spodu, przegniły, nadbutwiały, okryty pleśnią i mchami, a tak znędzniony, że się i na opał przydać już nie mógł nawet i spalić go było trudno.

Młody kołek wzdrygnął się dotknąwszy jego powierzchni oślizłej i trupiej; ale poznali się i staruszek odezwał się ledwie dosłyszanym głosem:

— Dębowy waćpan jesteś?

— Mam to szczęście...

— Śliczne szczęście być dębem i zostać kołkiem... Widzisz co mnie spotkało... miarkuj co z tobą będzie.

— Wieleż asan dobrodziej lat przebyłeś w tem położeniu? — zapytał młody.

(Trzeba wiedzieć że i między dębami dobrodziejami się nazywają przez grzeczność...)

— Lat nie dużo a nie do poznania jestem zmieniony — odparł starszy — nie wiem czy dziesięć się tu stało... a dwa się już leży... ale cóż-bo to za służba kołka w płocie... posłuchaj mojej historji.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Stary kołek opowiada swe dzieje.

— Trzeba ci wiedzieć, kolego, że... byłem niegdyś gałęzią znakomitego dębu w borze... i...

— A! waćpan byłeś gałęzią! — szepnął młody — nie dziw — pomyślał w sobie — że tak prędko zgnił... jam jest sam pniem i samoistniejszym, potrwam dłużej....

Zdziwicie się pewnie, że dęby tak rozumują, ale... gdybyście się przysłuchali kamieniom... moi panowie! za nic professorowie filozofii i dziennikarze... Na nieszczęście, w tym Bożym świecie jeden drugiego choć rodzeni bracia nie rozumiemy i dla tego głupszemi się sobie wydajemy niżeliśmy w istocie.

Stary tedy kołek tak dalej ciągnął historję swoją:

— Byłem gałęzią wielkiego i możnego dębu, ale cóż? co drugim na dobre wychodzi, mnie śmierć i zgubę przyniosło. Wiadomo ci, że gałęź rzadko prosto wyrasta, wygina się, krzywi i kapryśnie skręca, mając swoje fantazje na złość pniowi, który ją podsyca... ja sobie rzuciłem się prosto i jak mnie widzisz, a raczej jak nie widzisz dziś, bom zgnił i chrust mnie zakrywa... wyszedłem z pnia gdyby drzewo osobne... Gospodarowałem sobie odrębnie i miałem minę niepodległego konaru.

Tymczasem licho nadało siekierę, która mnie za piękną powierzchowność śmiercią skarała.... Padłszy na ziemię, znalazłem się w stosie gałęzi krzywych, pokręconych i widocznie przeznaczonych na opał; myśl, że skończę tak licho w chłopskim piecu oburzyła mnie wówczas, ale kto wie czy nie lepiej było krócej się męczyć... W istocie, zawiózł mnie wieśniak pod chatę

i rzucił na drewutnię, gdzie długi czas w najgorszem znajdowałem się towarzystwie, póki mnie w pilnej potrzebie nie wyciągniono jako zdatnego na kołek do płotu.

Los który cię czeka nie do zazdrości... wbity w ziemię a martwy, z pozorem drzewa a bez życia, musisz jak ja opleciony lichym chrustem stać w rzędzie z gawiedzią niewiedzieć gdzie pozbieraną, i pełnić obowiązki stróża niemego, który na to wszystko jest narażony od czego ogród zasłania. Liche zielsko uwija ci się u nóg, czepia po ramionach, okrywa głowę i otrzęść się z niego nie możesz; plugawy chwast otacza cię i uciska...

Sroki i wrony siadają odpoczywać na twojem czole, gospodyni wiesza brudne szmaty i mokre garnki, a bydle przychodzi ocierać boki... Wszystko to znosić potrzeba, stać, milczeć cierpliwie i nie ugiąć się. Gdybyż przynajmniej wszystkie kołki były jak ty dębowe... ale niestety! w ich liczbie są liche, cienkie, wyrostki, które natychmiast gniją, lada wiatr je łamie i upadek ich ciebie z sobą pociąga. Jabym stał jeszcze! ale płot obłamany całą siłą pociągnął mnie i na ziemię obalił!

Nim się to jednak stało miałem dosyć do zniesienia od perestupów i chmielu, od ptastwa i ślimaków, a każdy deszcz kropelkami drobnemi wciskający się między korę, zarody zgnilizny mi przynosił... Żyłem tak i skonać nie mogłem... wymyślne boleści przychodziły na mnie codziennie, a bezwładny nic a nic poradzić sobie nie mogłem... los mój był w ręku przeznaczenia... które mi sił do walki z sobą nie dało.

Nareszcie jednego poranku, gdy już od dawna wiatr nas rzędem wszystkich nagiął i pochylił, a kilku tylko twardszych płot na nogach trzymali, przyszło pod ciężarem bydła, które wtargnęło do sadu, runąć wszystkim razem na ziemię.

Tu inna poczęła się męczarnia... gorsza jeszcze, bośmy legli na wilgotnym owym gruncie gniotąc chwasty sobą, które zaraz powstać miały, a trzoda przeszła

nam po karkach depcząc i zwiastowała, że odtąd nogi bydlęce dobijać nas będą powoli. Jeżeli bieda kołkowi co stoi sobie w płocie o swej sile, to stokroć gorzej temu, który już leży na ziemi: gniją mu boki, zielsko używa go sobie za podporę, i kto żyw, znęca się nad biedakiem...

Myśleliśmy z razu, że zaraz płot odmienią, a nas dźwigną choćby na pańską kuchnię, ale gospodarz znać nigdy tędy nie chadzał, parę razy jakiś człowiek postał tu nad nami kiwając głową i rzucono nas na ziemi, zdawało się na wieki... Część tylko szczęśliwszą kuchciki w pilnych razach zużytkowali na kuchnię, twardszych jednak i mniej przegniłych nie chwycili.

Oto rys dziejów moich — dodał stary kołek — chronologiczny pogląd na nie i wielkie epoki żywota, ale któż opisze dnie po maluteńku upływające, ciężkie, długie, nudne... poświęcone rozmyślaniom o marności świata i losie kołków biednych. Chyba od bałamutnej sroczki lub trzpiotowatego wróbla, który ci głowę brzydzi, dowiesz się co się na świecie bożym dzieje, czy dęby puściły w lesie, czy liść opadł jesienią, czy mróz go zwarzył na gałęziach...

Masz asindziej przedsmak przyszłości — dodał wzdychając stary kołek — *ab uno disce omnes.*

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Niewiedzieć dla czego o Sacharze.

Zgodzicie się na to, kochani czytelnicy, że nim kołek nasz ostatecznie obuchem w łeb dostanie i wbity w ziemię, pocznie pokutę za wesołe młodości lata, należy nam wejrzeć co się dzieje z Sacharem, i gdzie go oczy poniosły w jego wędrówce bez celu.

Szedł tedy naprzód lasami długo za jakąś drożyną, która go wiodła sam nie wiedział dokąd i nią nad wieczór ze ściśnionem sercem dobił się gościńca wielkiego.

Tu mu serca przybyło, gdy usłyszał głosy ludzi, gwar weselszy i skrzyp wozów wieśniaczych długiemi sznury ciągnących ze zbożem ku spławnej rzece... Gościniec był pełen podróżnych, a tuż obok drogi, obozem położyli się spocząć i konie pokarmić, bracia pracowici, którym Sachar pierwszy objawił nowinę co go z domu wygnała...

Wypocząwszy z niemi i rozłamawszy kawał suchego chleba, chłopak posunął się dalej, a że wieczór był piękny i powietrze miłe i nogi jeszcze nie znużone, szedł gdyby na przechadzke... minąwszy pola znowu droga wsunęła się w głębią lasów i szum drzew starych zaśpiewał mu pieśń znajomą... Tęsknota za wioską i drzew rozhowory zmusiły go siąść nad drogą, podumać i posłuchać co też lasy gadają wieczorem, czy to samo co w Dębinie?

Spojrzał na swoją skrzypkę i niepohamowana wzięła go chętka zagrać sobie i borom... dobył więc z torebki swą muzykę i z początku brzdąkał, potem na dobre począł rzępolić jakąś śpiewkę tęskną...

A wziąwszy się do tego, tak dobrze o świecie za-

pomniał, jakby z niego na inny przewędrował. Odszedł strach, smutek, niepokój i przystąpiły dumy kołysać go na ręku i uspokajać nadziejami...

Gdy tak gra na skrzypeczce zapamiętale, ani się opatrzył, jak przed nim zjawił się mężczyzna średnich lat, który stanął z założonemi na piersi rękami i słuchał go ciekawie.

Jak wszystko na świecie i piosnka skończyć się musiała, nieznajomy pozdrowił go, a Sachar oczy dopiero ku niemu obrócił.

— Pięknie gracie — rzekł — ale co tu robisz pod noc nad drogą ze swoją muzyką?

Z oczów tego człowieka tak coś dobrego patrzało, że Sachar nie wahał się mu powiedzieć co go tu przywiodło i w jakiej był biedzie, i że nie wiedział co począć z sobą.

Ten słuchał uważnie a wzdychał...

— Hej! hej! — rzekł — biedny z ciebie człowiek i nie na wsi ci się w ubogiej chacie rodzić było, kiedy tak śpiewa w twojej duszy... Ale wiesz co, ja jadę w świat, jeśli chcesz to cię wezmę z sobą...

Nieopodal stał wózek jednokonny a szkapa gryzła trawę korzystając z chwili spoczynku; dwie biedy zrozumiały się zaraz, Sachar siadł powozić nieznajomego i oba razem ruszyli sobie dalej...

Niby to na pozór ów dobroczyńca nowy wyglądał na coś z waszecia, ale w istocie nie wiele był od Sachara szczęśliwszy... tyle tylko, że mu nikt nie bronił wałęsać się po świecie. Żył on także ze skrzypki, którą z sobą woził, był muzykiem i to tłómaczy, że go piosnka chłopska wstrzymała. Jęli sobie tedy, wlokąc się powoli, opowiadać historje swoje i wzajem stękać a nagadawszy się pokochali...

Biedny ów muzyk poczuł w wieśniaku brata i zafrasował się wielce nad jego przyszłością. Sam on nie miał kawałka chleba, a choć rzewnie grał i wiele umiał, ubóstwo i wiek podżyły odejmowały wszelką wiarę; ani sławy się dobić, ani grosza zarobić nie mógł.

Tłukł się tedy z kąta w kąt po jarmarczkach, po zjazdach i musiał niemal żebrać, żeby go kto posłuchał... chleb ów gorzki pożywał posypany popiołem upokorzenia, ale za wszystko mu płaciła ta muzyka, którą kochał. Nieraz gdy grał łzy grochem sypały się na drewno, które niemi jęczało... i rzadko nawet poczciwa dłoń i serdeczne słowo pocieszyły biedaka... Świat potrzebuje błyskotek i szumu by oczy obrócił i do zapału się zebrał; ubogi, nie młody, nie znany skrzypek nasz, nie miał ani afiszów z drugiego końca świata, ani włosów w pukle zwiniętych, ani imienia, twarzy, ani zagranicznych rekomendacyj... mógł grać jak Paganini, niktby go nie słuchał. Często też za kawałek chleba rzępolił do tańca machinalnie, jak nakręcony pozytywek i na wesele cudze patrząc, duszę ziębłą rozgrzewał.

I jechał tak sobie po świecie, od dworu do dworu, od miasteczka do miasteczka, jak dawni ślepi lirnicy, niosąc piosenkę ubogą... A przyjmowano go różnie — chętnie, wzgardliwie, dumnie, i częściej tłum prosty go pojął, niż wybredniejszy światek, któremu w muzyce nie dźwięku ale sławy potrzeba co by go zalecała... jak na butelce szampana kartki fabrykanta, choćby w środku była lura... I widząc go w lichej surducinie, której guzika brakło często, nikt się nie przyznawał, że gra go rozczuliła i trafiła do duszy...

Chłopek i grajek dobrze się z sobą zrozumieli i pokochali prędko... a nie wiem już jak uradzili do większego dostać się miasta... Biedny skrzypiciel wciąż marzył o sławie, dobijał się uznania, a miał tam jakieś listy do wielkich ludzi i pełne kieszenie nadziei, wziął z sobą Sachara... Na rogatce chłopek przeszedł piechotą i tak się dostali do stolicy...

Trudno to opisać jak biedak progi zbijał, prosząc u ludzi o ucho łaskawe, jak wszędzie spotykał silniejszych od siebie, co go popychali, jak pokornie im ustępował i na kawałek chleba pracował uciśnięty... Wolnemi chwilami uczył jeszcze Sachara, który żywo chwytał i pojmował, a wieczorami oba stękali nad

sobą i żyli jak bracia... nędza tylko nędzę rozumie, a komu serca nie zepsuło cierpienie, ten lepiej wie od innych czego boleść potrzebuje i jak smutnego pocieszyć.

Lepiej tu może było chłopakowi niż na wsi, przecież tęsknił do niej; ciasno mu było w miasteczku, i śniły się łąki zielone, dąbrowy szumiące, pola falujące zbożem i turkot kół młyna, co na całą wieś w nocy hałasował. Sniła mu się i matka i ojciec i dziaduś stary siedzący za piecem i całe owe życie wiejskie, smutne a przywięzujące wiekuistym nałogiem do siebie. Dużo czasu upłynęło od ucieczki jego z domu, myślał i nie śmiał powracać...

A tymczasem to ze skrzypką się bawił, to tam czegoś uczył od biednego swego pana, z którym razem głodem marli...

— Co się tam u nas na wsi dzieje?—mawiał chłopak, gdy w nim słowo lub dźwięk jakiś obudził wspomnienie lat dawnych — czy żyją? czy o mnie myślą, czy już opłakali?

— Do czego ty tam powrócisz? — odpowiadał mu grajek — swoim nie pomożesz a sobie zaszkodzisz... ze skrzypką z głodu nie umrzesz, a taki ci tu swobodniej troche niż tam... Kto wie, może wyjdziesz na lepszego grajka odemnie, bo i twarz twoja gra weselej od mojej, i z oczów ci patrzy duma a tęsknica, którym klaskają radzi ci co ich nie znają... Ot siedziałbyś tu i nie zrywał się darmo...

I płynęły tak lata, a Sachar wciąż grał coraz to śliczniej, grajek się cieszył i chleba im obu nie brakło... aż wreszcie za wsią tęsknica przeszła i z ubogiego chłopka stał się zbieg nasz panem Zacharewiczem...

Ale choć mu się powiodło, bolało biedaka, że ciągle kłamać musiał, taić się i ukrywać z pochodzeniem i wspomnieniami... gdyby się był przyznał, że w chacie przyszedł na świat i na regestr, odesłanoby go nazad panom Rogalom i, bywaj zdrowa swobodo! Przestrzegł go grajek, żeby zręcznie kłamał, jeśli nie chce

na wieś się dostać pod ciupasem... Ale Sachar dławił się fałszem, a choćby był i mówił zręczniej, twarz jego skłamać nie umiała, cała postawa świadczyła, że gdzieś daleko od miejskich wyziewów spił pierwsze mleko życia... Poznawali w nim ludzie dziecko wsi i wychowańca borów, a gdy skrzypki się dorwał, takiemi pieśniami jęczał na niej, jakich w murowanym świecie nie słychać... I pieśni te zadumywały ludzi co ich nigdy nie słyszeli, a czuli, że gdzieś są podobne na szerokim świecie... i lubiono Sachara więcej za te dzikie śpiewy, niż za uczoną jego muzykę.

Dnie mijały żywo, w tem starszy grajek zachorzał i położył się... Bił się nieboraczysko dopraszając posłuchania u ludzi, ale tyle namiotło z za morza muzykantów z orderami i patentami, którzy wszystkie drzwi pozalegali, że na swojską piosenkę nie było słuchacza... Nędza stała w progu i stukała do izby, jakoś wytrwania i męztwa zabrakło, tchu się w piersi przebrało i stary grajek zapłakał, jęknął i umarł.

Powiódł go na cmentarz Sachar i pochował pod białym krzyżykiem, bo ich na czarny nie stało... Wziął po nim wiązkę papieru, skrzypkę wypłakaną i węzełek odzieży i sam teraz został na świecie...

Biedak grajek skonał mówiąc o muzyce aniołów, śniło mu się, że kieruje chórem przed tronem Bożym, rylantową laskę trzymając w dłoni... z uśmiechu na bladem licu znać było, że mu na drugim świecie lepiej będzie. Ale Sacharowi straszno się zrobiło gdy sam jeden się obaczył wśród tłumu... zewsząd zdało mu się widzieć nadbiegających nieprzyjaciół i prześladowanie... każde oczy przerażały go badaniem, każda nowa twarz straszyła go groźbą poznania i zawrócenia do wioski.

Kryjąc się i kłamiąc czuł winowajcą... nocami znowu przychodziły tęsknoty do rodziny i dach ubogiej chaty, z której wywędrował, stał mu na oczach... A choć dusza jęczała, ludziom trzeba było grać wesoło, od ucha, aż się serce wzdrygało na takie świętokradztwo,

gdy co innego pierś poddawała, inaczej smyczek gadał... Wiekuiste kłamstwo w końcu śmiertelnie boleć zaczęło wygnańca...

I jednego ranku wziął skrzypki i rupiecie swe i nazad poszedł do wioski.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Same epizody, ale kołka z oczów nie tracim.

Tymczasem kołek nasz leżał w kupie towarzyszów na ziemi, i do woli miał czas nasłuchać się gderania starego przegniłego poprzednika, który dzień i noc nad sobą stękał. Tyle było roboty we dworze z powodu wesela pana Wincentego, taka mnogość zajęcia około budowli, których dachy łatać i boki podpierać musiano, że o płocie znowu nikt nie myślał i zdało się ekonomowi, że złożywszy stos kołów i chrustu na świadectwo swej gorliwości, mógł do szczęśliwszych czasów zagrodzenie sadu odciągnąć.

Dopiero przed samem weselem dziura w płocie uderzyła oczy narzeczonego i nagle wzięto się do roboty. Stary chrust i kije zabrano na kuchnię, gdzie drew nastarczyć nie było można, a Chariton młodego dąbczaka palnął po łbie i wbił na miejsce, w którem miał dogorywać...

Nieszczęśliwego męczennika poczęli zaraz ściskać i oplatać chrustem, boki mu ocierać z kory i ustawiono w rząd cały zastęp podobnych jemu kołków na straży ogrodu...

Bydło, które już miało od niemałego czasu używalność trawy w sadzie i przywykło tamtędy chodzić na przechadzkę, pierwszych dni dobijało się gwałtownie wnijścia, ogryzało chrust, ryczało nad kołkami i nierychło przekonało się biczem pastucha, że szczęśliwe czasy już się skończyły. Kołki wytrzymały napaść mężnie i miały tę pociechę, że Pan Wincenty płot pochwalił...

We dworze też odwrócona została uwaga od płotu i sadu, weselem szumnem jakie się tu odbyło: trzy

dni i trzy nocy żydki grali w sieniach a goście tańcowali po pokojach, choć panna Adelaida płakała w kątku. Stary marszałek był także smutny, ale węgrzyn mu posłużył i troski rozpędził rychło; za weselem, sznurem pociągnęły odwiedziny sąsiedztw, zabawy, przyjęcia, i ani się opatrzyli Rogalowie jak trzy miesiące życia przejedli i przetańcowali.

Nierychło jakoś nowa pani wzięła się do spełnienia posłannictwa swojego rozglądnąwszy bacznie do koła. Była to kobiecina z charakterem hartownym, nie znosząca podległości i czująca, że panować musi w domu; męża więc osnuła zaraz pajęczyną, aby się nie ruszał, klucze schowała do kieszeni, pod pozorem, że je pan Wincenty gubił, a do panny Adelaidy wynalazła tysiące niezmiernie słusznych żalów, które spowodowały kwas w domu, mający ją prędzej lub później ze spokojnego wygnać gniazdeczka. Marszałek nie czekając podobnego losu, nie długo popasał, wyniósł się wcześnie do swojego folwareczku i zasiadł pod nowym piecem na stare dumania. Panu Wincentemu zresztą ochota żony do panowania i rządów absolutnych była na rękę, gdyż nadewszystko lubił myśliwstwo i byle miał z kim polować, o resztę nie pytał. Powracał wieczorem do gotowego, znajdując, że najprzyzwoitszem stanowiskiem dla uczciwego szlachcica jest pantofel żony. Nigdzie cieplej, wygodniej i lepiej, a gdy już pod pantoflem koniecznie być wypada, bezpieczniej pod jejmości dobrodziejki.

Zdaje mi się, że znakomici psychologowie dawno postrzegli, iż męzka kraju naszego połowa siedzi pod pantoflem i chodzi w spódnicy. Ale to jeszcze wielkie szczęście, i, prawdę powiedziawszy, gdyby nie kobiety u nas gdzieżbyśmy zawędrowali? One jedne pracują, myślą, czują, ruszają się, żyją, słuszna jest by i panowały.

Przytem wrodzona skromność jeszcze nie dopuszcza im zbyt głośno przechwalać się ze swej potęgi, i choć w istocie są paniami, udają potulne towarzyszki... Niezaprzeczonym jest faktem, że u nas więcej niż gdzie-

indziej amazonek; zostało to widać z tradycji prastarej, ale gdyby, uchowaj Boże, dziś się kobiety zrzekły panowania, jutroby nasz świat do góry nogami się przewrócił...

Co dobrego się dzieje wszystko przez kobiety, co nic potem, to pewnie my wymyślim sami i trzeba całować te łapki, które nas w zbawiennych więzach trzymają, pędzą do pracy, hamują, gdy się na głupstwo zbiera i głaszczą za poczciwą robotę... Z upadkiem męzkiego rodzaju, który się stał nijakim, niewieście dłonie musiały jąć się steru i wcale nam z tem nie źle. Wiedziała o tem pani Dorota, której matka wpoiła zbawienne zasady, jakich sama dobrego doświadczyła skutku; wprędce poznawszy swego męża wielkiego łowca ale bardzo lichego gospodarza, musiała go zastąpić wszędzie, i po kilku miesiącach ukazała się nawet w stodole, przy młockach i na oborze. Ekonom posmutniał i postrzegł, że się jego panowanie skończyć miało rychło, gdyż dozór taki oburzał go i nie dozwalał samoistnie rozwinąć.

Powszechny popłoch poszedł po wsi i ludu Bożym, który zwiesił głowy przewidując nową erę dla Dębina.

W chacie Pakułów stękano gorzej niż gdzieindziej może, bo tu brakło rąk dwojga, które inni zastępować musieli i żal po oddalonym Sacharze za serce ściskał.

Biedna matka zrazu dnie i noce we łzach czuwała, za lada bramy od wiatru poruszonej skrzypnięciem, czekając syna powrotu. Sama go wyprawiła biedna i to ją bolało mocniej jeszcze...

Sachar poszedł i zamiast blisko gdzieś ukryć się w lesie, nie wrócił więcej, choć dawno mógł bezpiecznie w chacie się ukazać; wieści o nim nie było nawet... Nie rychło ludzie, z którymi się widział, powiedzieli komuś, że go widzieli na gościńcu, dalej ślad zbiega przepadł zupełnie.

Głoszono pilnie i poszukiwano włóczęgi. Rogalowie kazali go ścigać i imać, gdzieby się kolwiek znalazł... ale Sachar wpadł jak w wodę...

Stary dziaduś Perebendia płakał po nim cicho za

piecem, ale krył się z żalem, aby go biedniejszej matce nie dodawać; ojciec wzdychał, siostra wspominała często, i tak powoli powiedzieć sobie musieli, że już się chyba nie wróci...

Jedna Wasylissa wierzyć temu nie chciała, i każdy wieśniak podróżny zdał się jej podobnym do syna, a sny coraz go oznajmywały... Tymczasem lata płynęły, dzieci rosły, starzy chylili się ku ziemi i chata coraz głębiej zapadała, a Sachara widać nie było.

— Taki on powróci! — mówiła matka.

— Oj nie! — powiadał dziaduś — jeżeli mu tam na świat wybić się udało, głupi by był, żeby nazad przyszedł biedę klepać i za pługiem chodzić; chyba go gdzie złapią i przyprowadzą...

— Niech Bóg uchowa!

I często tak w chacie gwarzyli, a Sachara ani widu ani słychu.

Jednego wieczora jesiennego, siedzieli wszyscy na przyźbie od podwórka i tylko co byli skończyli wieczerzę, a na rozmowę jakoś nie szło, gdy psy we wsi od kołowrotu mocno ujadać zaczęły.

Stary towarzysz Perebendi zwlókł się także, poszedł do wrót, nastawił uszy i hauknął za innemi, ale widać mu szczekanie tamtych nie trafiło do przekonania, bo zaraz gderać poprzestał i nosem tylko pociągał, dopytując bliższego powodu tego hałasu...

Tem dziwniejszy był ten rejwach, że ani turkot wozu, ani szum nie usprawiedliwiał go wcale, we wsi było spokojnie a psy chwilami ujadały dziwnie, tak że stary nasz podworotnik musiał mimowoli niekiedy im wtórować przez uczucie psiego obowiązku.

Ulicą środkiem wioski szedł jakiś podróżny i rozglądał się w około bojaźliwie... Ludzie nań poglądali i dziwowali się, że o drogę nie pyta; a psy podskakiwały całą gromadą ku niemu i ujadały zapalczywie za idącym, który tylko powolnym swym chodem onieśmielał.

Dziaduś wreszcie wyścibił łysą głowę przez bramę,

ale ślepy nic dojrzeć nie mógł — za nim wnuczę wybiegło.

— A co tam? — spytał Perebendia lepszych oczów — nie widzisz...

— Idzie z kijem podróżny, dziadu, i staje przeciw chaty naszej.

Zerwała się Wasylissa, wiecznie oczekująca podróżnego i wyszła z sercem bijącem naprzeciw.

Sachar to w istocie stał naprzeciw chałupy i patrząc na nią zbliżyć się nie śmiał. A poznać go było trudno, bo miał z pańska odzienie i twarz jaśniejszą i płeć bielszą i taki postarzał nieco przez lata wędrówki i tęsknoty.

— Wszak-ci to chata Pakułów — rzekł głos podnosząc...

Wasylissa wybiegła na te słowa, bo głos poznała zaraz i zarzuciła mu ręce na szyję — Sachar! — krzyknęła nieprzytomnie — to on...

— Cicho, kobieto! — odezwał się dziaduś — ty go wydasz, a on się ukryć może potrzebuje; zgubisz syna...

I pociągnęli go na podwórko co żywo, a stary wrota zaparł i psy zaraz szczekać przestały. Tu go otoczyli kołem wszyscy, całując i ściskając i nacieszyć się nie mogąc, a pytaniami zarzucając... ale jemu słów na odpowiedź brakło...

Nowy człowiek powrócił do starych śmiecisk, które kochał pamięcią, a dziś poznać nie mógł tak dziwnie na jawie się zmieniły. Nędza wiejska ozłociła się w duszy jego poezją wspomnienia, tu występowała z całą swą straszliwą rzeczywistością i biedotą... Zielony dach aksamitem wysłany... czarny był i dziurawy, grusza na w pół sucha, sadek wiśniowy nizki i drobny, podwórko ciasne i brudne, a ludzie jakby inni, tak zbiedzeni i nędzni...

Tylko łzy i serca pozostały też same... Niemi się jeszcze porozumieć było można, gdy już i słów zabrakło wspólnych i językami różnemi mówić do siebie musieli starzy rodzice i na długą wędrówkę skazane ich dziecko.

Matka dziękowałą że powrócił i nie rozumiała dla czego bieda ich pociągnęła go ku sobie... ojciec skłopotany powtarzał:

— Co teraz będzie! — dziaduś płakał — a siostry załamywały ręce niebogie, i dzieci, widząc że wszyscy biedują, patrząc po sobie skrzywiły się jakby rozpłakać chciały.

Weszli z nim wszyscy do chaty chcąc go ukryć przed oczyma ciekawych, bojąc się ludzi i niepewni jeszcze co z nim uczynią.

Tu Sachar obejrzawszy się, wszystko znalazł na miejscu jak było przed laty i zadziwił czując w sobie tak wielką zmianę a tak małą w martwej siedzibie rodzicielskiej. Na piecu widać było pęknięcie, które zostawił, poznał wiadro u drzwi stare, stół trochę w jedną stronę pochylony na którym jadali w dnie świąteczne, też same dziury i garby w podłodze, i zeschłe ziele na pułapie... W oknie zbita szyba pozostała dotąd założona łuczywem; warstat tkacki zdał się tym samym półsetkiem zajęty...

Tylko twarze starych pomarszczyły się i pożółkły, plecy schyliły, oczy przygasły, a silniejsze dzieci siostrzyne mimo nędzy odrosły od ziemi nieco i różowemi policzki rozweselały gromadkę...

Tu Sachar rzucił się na ławę spocząć, bo i ze znużenia i z wzruszenia nogi pod nim dygotały, a siostra pobiegła szukać jedzenia aby go pokrzepić.

— Tylkoż cicho! na miły Bóg — krzyknął Chariton oglądając się po swoich... O Sacharze nikomu ani słowa! Rozumiecie! Potrzeba się nam dobrze naradzić co z nim zrobić... trzeba przygotować dwór, panią, pana, panienkę, ekonoma, aby go za zbiegostwo nie prześladowali...

Stary Perebendia na chwilę dawną przytomność odzyskał.

— Tak... wprzódy pójdziecie wymacać co się tam święci, młoda pani ostra! Ale powracającemu nigdy u nas biedy nie było wielkiej. Chodzili inni na Podole... a cóż? Dla przykładu trochę nakrzyczano i... wrócili do pługa spokojni.

— Ja powrócić do pługa? odezwał się Sachar — gdybym chciał, czyż potrafię? Nigdy ze mnie nie był wielki rolnik, a dziś i w rękę bym go wziąć nie umiał.

— A cóż będziesz robił? — spytał ojciec — jeżeli się w chacie nie przydasz, wezmą do dworu, toż gorzej jeszcze...

— Nic potem, dodał Perebendia...

— I ja to wiem...

Matka zaniosła się od płaczu...

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Kołek, tylko innego rodzaju.

W wielkich wypadkach środki nadzwyczajne... uradzono po długiem wahaniu wysłać do dworu Perebendię, a Sachara do czasu w stodółce przechować... Ale dziaduś od dawna już postradawszy niezależność i panowanie w chacie, będąc niejako sługą swych dzieci, ze dworem nie był w żadnych stosunkach; obawiano się znowu by jego niezwyczajny krok nie kazał się domyślać wypadku nadzwyczajnego. Szczęściem, nowa pani która ogród lubiła, zadysponowała kobiety do zamiatania uliczek, i stary Perebendia, który już ledwie za babę się mógł liczyć, włożywszy podartą siermiężkę, poszedł z miotłą i grabiami do pańskiego sadu, spodziewając się tam zastać panienkę i po cichu z nią o wnuku rozmówić.

Dla czego nie trafiał ani do pana, który już przykładem ojca pod piecem siadywał wielką część dnia, z nogą na nogę założoną; ani do młodej pani, trzymającej w rękach rządy i władzę, ani do żadnej innej osoby pośredniczyć mogącej, tego nie wiem. Panna Adelaida zdawała się im wszystkim najwłaściwszą w złym razie opiekunką, choć opieka ta słabą była, bo pani Dorota ani jej lubiła ani słuchała... ale przeczuwano w niej serce a widziano cierpienie...

Perebendia tedy wraz z niedorosłemi dziewczątkami i chłopakami, którym za dzień takiej roboty w ogrodzie dawano zwykle wieczór po trzy grosze, poszedł ulice oczyszczać i starowina jął się do roboty żywo, upatrując, czyby gdzie panienki nie spotkał. Aż właśnie trafiło się, że siadła na ławeczce z książką i czytała... nikogo nie było, stary zarzucił grabie na plecy i po

cichu się zbliżył.

— Panieneczko — rzekł zbliżając się z pokłonem — poratujcie dobrą radą... mam wam coś powiedzieć!

— Cóż tam takiego, mój staruszku? mówcie, choć nie wiele pomogę, to z serca się użalę...

— Nie pamięta panienka Sachara?

— Sachara? jakiego? — uśmiechnęła się panna Adelaida z politowaniem, dziwując głupocie starowiny, mogącego myśleć, że Sacharowie się za coś liczą i pamiętają...

— No! tego naszego Sachara, od Pakułów... co grał pięknie na skrzypeczce? młodego, mojego wnuka... który był uciekł... i nie wiedzieć gdzie się podział.

— Pamiętam tylko, że go szukać kazano...

— I nie znaleziono — dodał Perebendia — i nie było go kilka lat... a teraz — rzekł ciszej oglądając się — on powrócił! rozumie panienka, on powrócił!

— Powrócił?

— Bojemy się, żeby go nie karali, ale sam powrócił dobrowolnie... nam starym serce pęka myśleć, że go mogą oddać w rekruty... ej! gdyby panienka była tak dobra a pomogła nam...

— Ja! wam!

— Ehe! i przemówiła za nim i za nami...

— Ale cóż słowo moje znaczyć tu będzie? — westchnęła panna Adelaida — wiecie, że brat mój tu panem, żona jego panią, a ja... ja...

I dwie łezki błysły na jej powiekach...

— A ja tu niczem — dodała. — Grosz jaki dać wam mogę jeśli chcecie... ale opieka moja nic tu nie znaczy...

— E! nie! — przerwał Perebendia — byleście chcieli, wyprosicie Sachara. — I do stóp jej schylił się starowina tak nizko, że mu wstać już było trudno i panna Adelaida musiała mu podać rękę...

Łzy staruszka poruszyły ją i pobiegła do dworu, do brata...

Do wieczora, choć to niby było tajemnicą, cała wioska szeptała o powrocie Sachara, domyślano się

różnie co z nim dwór zrobi, ale sama gromada wnosiła, że włóczęgę, który się już nie przydał na nic w polu, należało oddać do wojska.

Właśnie to najgroźniejszem było dla Sachara, który odwykł od posłuszeństwa, długo sam sobie będąc panem i przyzwyczaił się do wygódek i wolał grać na skrzypcach niżeli bronią robić...

Przy wieczerzy przyszedł ekonom z raportem dziennym do dworu i doniósł o powrocie Sachara... Sama pani wotowała naprzód aby go dla przykładu ukarać, ale ta pierwsza mocja upadła za wstawieniem się samego ekonoma, któremu już pół kopy jaj, kurę czarną i ręcznik zaniesiono o mroku. Następnie rozkazano przywołać ojca, a Chariton, czekający na folwarku, zjawił się z pokłonem w progu sali, gdzie los człowieka miał się rozstrzygać...

Sam pan już był zasiadł pod piecem, pani chodziła żywo, panna Adelaida ukryta w kątku, zabierała się być adwokatem nieszczęśliwego, ekonom niby instygator z insigniami władzy przy drzwiach...

Chariton wszedł pomieszany i drżący, nizko i bardzo nizko skłonił się czapką do ziemi...

— A co, jest ptaszek? — spytał Rogala...

— Jaśnie panie — odparł po namyśle wieśniak — w sercu państwa nasza nadzieja, że mu przebaczycie... chłopak zawsze nie spełna miał rozumu... i teraz nie lepiej powrócił.

— Cóż on tam robił?—przecież czemś na życie sobie zarabiać musiał —odezwała się pani...

— Na skrzypeczce grał — rzekł Chariton — takie to nieszczęśliwe u niego przywyknienie... nic nie robił jeno grał, ta i teraz...

— A to musi grać nieźle? — zawołał pan.

— Chłop! na skrzypcach! — przerwała śmiejąc się Dorota — to coś osobliwego... doprawdy jestem ciekawa...

— Skocz mój Kubasiński — krzyknął pan Rogala usłyszawszy żądanie pani — przyprowadź go tu ze skrzypcami... słyszysz?

— Ja go sam przyprowadzę! — rzekł Chariton pokornie.

Chata nie była od dworu daleko, ojciec spiesznie pobiegł po syna i wpadł do domu z oznajmieniem, że państwo Sachara chcą słyszeć...

Trzeba było korzystać z jakiego takiego usposobienia i spieszyć ze skrzypkami. Ale Sachar nie miał ochoty grać, jemu się na łzy zbierało nie na popisy... i ledwie dał się namówić wziąć skrzypce i z ojcem ruszyć. Trzeba było nawykać posłuszeństwu; spuścił głowę i poszedł pokorny...

Choć trochę postarzał biedny włóczęga, ale najpiękniejszy parobczak we wsi dziś się stał dziwnie zajmującą jakąś postacią, jakby z Byronowskiego poematu. Nosił włosy długie, twarz miał blada, oczy ciemne, ogniste i coś tak smutnego w wejrzeniu i uśmiechu, a tak dumnego na czole, że się wcale nie wydawał chłopem.

Dowiedziona to rzecz, że czasem nawet ta prosta dzika latorośl ludowa wydaje typy, na jakie trudno się zdobyć innym rodom, daleko poprawniejszym... Wprawdzie ręce zawsze silne i nogi wielkie odznaczają ich (wedle naturalistów przez heroldją potwierdzonych) — ale to coś bywa nakształt owych barbarzyńskich królów, bez rąk stojących na Kapitolu, których dzika i poetyczna piękność nawet obok Antinousa uderza.

Takim był dziś Sachar, a gdy w progu sali upokorzony z swą skrzypką stanął, pokłonił się i podniósł głowę piękną, wszystkich oczy na niego się obróciły, nie mogąc pojąć jakim sposobem tak piękny człowiek mógł się w tak lichej chacie urodzić!

Panna Adelaida poglądała nań z politowaniem i zdziwieniem, Dorota potrzęsła głową a sam pan zagryzł sobie usta, ruszając ramionami.

I powiedziano: — Pokaż co umiesz! — tak jak pieskowi służyć każą i niedźwiedziowi skakać przed gawiedzią... Sachar miał łzę w oku, pierś mu wezbrała na łkanie, ale dobył skrzypki i grać musiał...

Któż wie! od smyczka zależało może jego wyba-

wienie!... Pan, pani, panienka, ojciec, ekonom stali, słuchając w milczeniu uroczystem domorosłego wirtuoza. Nie wiem jak się to stało, ale chłopak nieszczęśliwy, gdy raz dźwięk swej skrzypki posłyszał, gdy ona mu na piersi zadrgała, zapomniał o całym świecie, panu, groźbie, przyszłości, miejscu, w którem się znajdował i ludziach co go słuchali. Zagrał im od serca taką jakąś boleścią, skargą, jękiem, że mimowolnie dreszcz uczuli przechodzący po ciele. Panna Adelaida trochę się uczyła muzyki a czuła ją lepiej niż umiała, Dorota grywała sama nawet wielkie sztuki, jak mówiła, pan Wincenty lubił dumki, szumki i ludowe piosenki... wszyscy się więc mniej więcej poznali na grze włóczęgi, która im trafiła do serca...

Ekonom tylko utrzymywał, że gra nie do rzeczy, bo zrozumieć nie mógł innej jak do tańca muzyki...

Potrzeba było po kilkakroć mówić Sacharowi, żeby poprzestał, tak z okiem wlepionem w ciemności, sparty o ścianę, grał i grał bez końca...

Ojciec go wreszcie trącił, i obudzony grajek, opuścił ręce smutnie... zwiesił głowę, przypominając sobie gdzie był i co się z nim działo...

Pan i pani słowa nie rzekli, tylko skinieniem ręki odprawiono ich do chaty.

Ekonom uznał stosownem pozostać dla tajemnej narady o losach nieszczęśliwego...

— Ale wirtuoz, mospanie, niechże go wszyscy wezmą! — zakrzyknął pan Rogala wstając z pod pieca— gdzie on się tego nauczył? Mógłby panie koncerta dawać... i byłby nie zły grosz z niego.

— Wiesz co, kochanie — odezwała się Dorota — chłopak niczego, trochę przetarty w świecie, wziąć go do dworu, czasem i do tańca zagra.

— Włóczęga! niewiedzieć jakiego prowadzenia, zrobił uwagę pan Rogala.

— Trudnoż go w chacie przy pługu zostawić.

— Już to do pługa się nie zda — dodał ekonom — ale jak jaśnie państwo rozkażą...

— Weźmiemy go do dworu! — odezwała się pani

— do wojska go szkoda... zdrów, przystojny i przydać nam się może... liberja Janka, który poszedł na wieś do chaty, w sam raz przyjdzie na niego.

Nie miała potrzeby przemawiać panna Adelaida, gdyż nic lepszego dla niego wyrobić nie mogła, musiała na tem poprzestać i Sachar w ten sposób mianowany został... lokajem...

Znając go, nie trudno się domyśleć, że ten chleb dlań musiał być gorzkim, ale już go życie złamało i wygięło tak, że mu prawie obojętnem było co z nim uczynią, a wiedział że woli mieć nie będzie.

Zabrawszy więc węzełki swoje, pożegnawszy matkę i ojca, powlókł się do kredensu i stanął pod rozkazy starego wąsatego Matyasza, który władał przedpokojem. Ciężka to była próba i nie wiem czy kołkowi w płocie czy jemu w kredensie gorzej było.

Na wsi biedak miał jeszcze trochę swobody, rodzice oszczędzali mu trudu i przymusu, w polu na niebo patrzeć mógł i obracać się jak chciał i westchnąć całą piersią; tu i stać i chodzić i mówić i patrzeć na nowo go uczono, a pierwszą zasadę Matyasza, który był wielce myślącym, stanowił aksjomat, że sługa nie jest człowiekiem.

Matyasz wcale nie był głupi, ale znajdował że rozum w kredensie do niczego się nie zdał.

— Sługa — mawiał on — nie powinien nigdy myśleć, mieć zdania własnego i woli, fantazji żadnej, czułość nie potrzebna... czujny, baczny, słyszeć powinien tylko to co do niego mówią, a spełniać jak machinka co każą... Jak tylko sługa wdaje się w serce, przywiązanie, bierze na rozum a nie na ręce... na nic się nie zdał.

Pytają, odpowiadasz ściśle tyle ile musisz; ślą, idziesz, niepodobieństwa nie ma dla ciebie, czynność twoja nie twoja, spełniasz ją jak siekiera tnie drzewo... co ci że z niego krwawy sok się leje...

Ujrzawszy ledwie Sachara, stary Matyasz zawyrokował zaraz że się na nic nie zdał.

— Naprzód za stary — rzekł — żeby mógł przy-

jąć edukacją i nawyknąć do niemego i ślepego posłuszeństwa; powtóre grajek, a ile ich jest to wszystko pijacy i hultaje... nareszcie długo wałęsał się po świecie samopas, pewnie nic dobrego z wędrówki nie przyniósł...

Pomimo tych przedwczesnych o nim sądów, Sachar pozostał we dworze, i zaraz w dni parę gdy kilku mężczyzn przybyli w odwiedziny, pan Rogala kazał mu się popisywać ze skrzypcą.

Sacharowi krew tryskała do twarzy, gdy mu tak jak uczonemu pieskowi służyć kazano, zgrzytał zębami i wstrzęsał się, ale zaledwie dorwał się skrzypki na której w inne czasy Matyasz grywać nie dawał, już nie był panem siebie, i dźwięk jej przenosił go w inne światy.

Oddajmy tu sprawiedliwość razem grze Sachara i tym co go słuchali, że choć na nim żadnego tańca i nic wesołego wymódz nie było podobna, wszyscy się jakoś poznali, iż gra z serca, i poczuli że w tej pieśni jest życie i myśl jakaś. Wiedzieli nawet, iż w głębi jej była boleść, bo choć go zmuszano do wesołych przegrywek, zawsze w nich coś jęczało i odzywało się cierpieniem.

— Dziwna rzecz — mówił pan Rogala — gra ci mazura i ochoczo od ucha, a licho wie jak brzęczy w nim coś gdyby skarga i krzyk straszny... mnie po jego graniu zawsze jakbym z pogrzebu powrócił; i uważam że Dosia chodzi smutna, Adelaidzia także, nawet chłopcy pomywacze nosy spuszczają... osobliwszy człowiek i gra jakaś dziwna. A co najniepojętsze — dodawał — że choć cię prześwidrowywa na wylot, chce ci się słuchać, i tęskno ci i ciężko, a oderwać się nie można.... To djabeł nie człowiek!

— Żeby tak na mnie — szeptał Matyasz cicho — jabym jego puścił w świat, bo to gotowo jakiej biedy we dworze narobić... Nieprzytomny chodzi, nie rozumie co się do niego gada, nie boi się nikogo, łaj go ani drgnie, bij ani się ruszy, a w dodatku po cichu płacze... i wszystkie dziewczęta chodzą za nim jak za

malowanym obrazkiem. Na co we dworze taki sługa! Uczciwy to prawda — mówił Matyasz — ale co mi z tego, że on z dobrej woli poczciwy, kiedy ja kijem z każdego zrobię wzór cnoty i posłuszeństwa.

Służba zresztą we dworze dosyć była lekka, gawiedzi dosyć a Sachara nikt nie prześladował, ale nosił suknię poddaństwa i żadnej dnia godziny nie miał dla siebie, a kroku bez pozwolenia stąpić nie mógł... Na skrzypcach nie wolno mu grać było, chyba kazano... a gdyby się i odezwał, głos ich zdradzał, że nie był zajęty i zaraz go ktoś do czego używał.

Wieczorami tylko czasem szedł biedak po cichu do sadu, pod ten płot, w którym wbity stał jego rówieśnik dębowy, i oparty oń, sam sobie śpiewał na skrzypeczce co serce mu kazało... Miejsce to, dosyć oddalone od dworu, osłonione drzewami, skryte, dozwalało mu się na czas jakiś ukryć przed oczyma. Ale powracającego stary Matyasz i gromił i wyśmiewał.

— Co tobie przyjdzie z tego piłowania — mawiał — czysty warjat... żeby ci jeszcze kto płacił, nie mówię, ale grać dla fantazji, dali-Bóg niepojęty chłopiec!

Wszyscy go potroszę też mieli za półgłówka, a litość, jaką wzbudzał, nie szkodziła mu wcale.

Pan tylko znudził się i złą jego posługą i nieustannem graniem.

— Zawali-droga — mówił sobie — nie wiedzieć co z nim zrobić... czy to ja muzyki potrzebuję...

A wieczorami jednak zasłuchiwał się z daleka w grze jego i ramionami ruszając, gniewając się, gdy raz go schwyciła, już porzucić nie mógł.

Do chaty rzadko go wypuszczano, a tam matka biedaczka srodze za nim tęskniła. Nocą ledwie miał wolność dostać się na wieś do swoich i chwilę z niemi posiedzieć...

Ale i tu gdy przyszedł, niemy godziny spędzał na ławie, bo nikt jego w domu i on nikogo zrozumieć nie mógł. Oni mu mówili o powszednim chlebie i niedostatku, o zbytku pracy i biedzie swojej, on o niewoli i swobodzie jakiej zażył, o pętach które nosił, o upo-

korzeniu, którego doznawał.

I nie pojmowano go, bo był okryty, bo nie skarżył się na głód i bicie... a to już dla nich tak wiele gdy plecy całe, żołądek syt i głód nie dokucza... Nie jeden mu nawet zazdrościł, że ciężkiej nie znał roboty...

Na to Sachar się uśmiechał, spuszczał głowę i łzy toczyły mu się po twarzy ciche...

— Taki w głowie coś nie dobrze — szeptał dziaduś patrząc na niego.

— Sam nie wie czego chce — ruszając ramionami dodawał ojciec — jeszcze i to szczęście że w gorsze ręce nie poszedł... ale jemu nigdy dobrze...

Matka go może rozumiała jedna, ale wypowiedzieć nie mogła co jej po sercu chodziło...

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

O bohaterze i jego losach, — wracamy do rzeczy.

Kij nasz stał nieporuszony w miejscu... i dumał o lesie, z którego został wyrwany, o dawnem życiu i ściętych siekierą nadziejach.

Towarzysze jego zdawali się wcale swemu losowi radzi, i nie pojmowali dla czego on tak smutną miał minę... Kołek wierzbowy zaraz pierwszego roku puścił korzonki w ziemię i gałązki do góry, wprawdzie ścięto je wprędce, ale szaławiła na nowe się zebrał i drwił sobie z człowieka, wiedząc że tamtemu pewnie prędzej się sprzykrzy ścinać, niż jemu puszczać gałązki... Pochlebiał sobie nawet, że z czasem, gdy płot runie cały, on na poważną rosochatą wierzbę wyrośnie...

Próbowały tej samej sztuki inne kije i gałęzie, ale nie mając wytrwałości wierzby i po pierwszem wystrzeleniu tracąc wszystką siłę, schły potem nieboraki. Jednak i uschłe nie znajdowały, by im znowu tak bardzo źle być miało na świecie.

— Pytam się, czego ty u licha chcieć możesz? — zamawiał kołek leszczynowy do dębowego sąsiada — zawsze jednak skończyć było potrzeba, czy od wichru, czy od żelaza, czy od ognia... Stoisz sobie w miejscu czystem, patrzysz na pole, chrust trochę boki ściska, ale wyschnie i upadnie, w ziemię jesteś wbity, ale leżąc byś zgnił... towarzyszów masz dosyć, pogadać z kim jest... czego dalej żądać? Nie grubiejesz i nie rośniesz, prawda! Ale małoż to kłopotu co wiosny puszczać te liście, które potem drwiąc z ciebie, same sobie żyją jak im przyjdzie do głowy i z lada wiatrem lecą? Prosisz słońca, pragniesz deszczu, boisz się wiatru, a tu niech się dzieje co chce... wszystko ci już jedno... nie masz

nic do roboty, głowa cię o nieposłuszne gałęzie nie boli, odpoczywasz i marzysz...

Inne kołki, równie potulnej natury, znajdowały także, iż im tam wcale było nie źle.

— Gdyby nas wbito niedaleko folwarku — mówił osikowy — to wcale co innego; tam brudne hładysze wieszają ci na głowie, podlewają pomyjami i nie zaręczyć nigdy, żeby kucharz nie ciupnął co na podpałkę... ale tu... stój sobie cicho i Boga chwal... czego więcej potrzeba... Chrust gniecie... ale w lesie, nie jadłoż nas zielsko, nie porastały mchy, nie dziubały dzięcioły, nie świdrowały robaczki, nie obsiadały grzybki?! Wszędzie ta sama dola...

Pomimo tych pocieszających uwag, kołek nasz zawsze był smutny i zdawało mu się, że w lesie na pniu lepiejby było, choć inne życie, choć twardsze może, ale życie przecie...

Tymczasem i jemu i szeregowym, stojącym w rządzie a śpiewającym szczęście swe obecne, po krótkim przeciągu czasu rozmaite dolegliwości przytrafiać się zaczęły. Wprawdzie chrust obeschnął rychło i osunął się nieco a zwolnił ich z objęć swoich, ale inni nieprzyjaciele niespodziewani się zjawili; w dziurach płotu wróble zaczęli uściełać gniazda i nieproszone zapisywać sobie kwaterę. Ztąd niepokój nieustanny, krzyk, wrzawa i inne nieprzyjemności spadające na głowę...

Część tej bujnej bandy rozbójniczej latała wprawdzie po świecie, ale inni pilnowali gniazd i odprawiali czaty na wierzchołkach najwznioślejszych kołków, rządząc się w płocie jak w swoim... Z tego wynikło, że syn ekonoma, chłopak ciekawy, strzelać zaczął śrótem do stada i więcej kaleczył kołków niż ptaków... Nasz pacjent dostał po boku i kilka śrócin uwięzło mu pod korą...

A że, jak to i u nas wiadomo, jedna bieda nigdy nie dokuczy, za wróblami przyszły i inne plagi... Płot osłaniały drzewa wysokie, utrzymując w koło wilgoć i chłodek, okrywały go powoje, chmiel dziki i perestupy, obrastały pokrzywy, obejmowała zewsząd bujna roślinność. Do niej przyplątały się zaraz różnego rodzaju

owady, pająki, muchy i innego rodu stworzenia, które w płocie schronienia szukały, kolebek dla dzieci i zimowych mieszkań. Wróblom to było bardzo na dzioby (boć nie na rękę), ale kołkom nie ze wszystkiem... porobiono w nich dziury, jamki, otwory... woda zaczęła się przeciskać, szukając sobie dróg do środka...

A myślicie naiwni i poczciwi ludzie, co ją w szklankach pijecie, że ona sobie niewinną i czystą jest kroplą rosy niebieskiej? Jako żywo! nie ma żywiołu, któryby tyle co ona śmierci zarodów miał w sobie.

Dla tego zapewne są ludzie, wyższym obdarzeni instynktem zachowawczym, którzy nigdy wody nie pijają, utrzymując że to tylko gęsiom przystało. I mają słuszność. Dość jest wziąć ową kroplę jak łzę nieczystą... i poddać ją badawczemu oku uczonego... Pokażą się w niej monstra najokropniejsze, najdziwniejsze potwory, wielorybów nasiona, pyły wężowe... żmije, gady i zarody wszelakiego stworzenia przedpotopowego, które później malało i drobniało, aż wreszcie stało się niedojrzaną istotką... Wszystko to zdrada, bo te małe niepostrzeżone potwory czekają tam tylko chwili sposobnej, aby na olbrzymów powyrastać i świat cały zjeść na śniadanie.

Oprócz tego, woda, która ma posłannictwo niszczące, przynosi usłużne nasiona wszelkiego plugastwa z sobą, grzybków, robaczków, mchów, porostów i różnych egzystencyj niepoliczonych, o których się szlachcicowi ani śniło, boć ich heroldja nie potwierdziła.

Byle tam gdzie dojrzało nasionko jakiego proletarjusza tego rodzaju, jeśli za ciężkie żeby go powietrze poniosło, które także sieje zniszczenie, woda, utrzymująca główną kantorę transportową na tym świecie, podejmuje się przenieść zarodek gdzie jej każą...

Ma na to tysiączne sposoby... leje się rzekami, unosi się parą i spada deszczem na ziemię, wędruje w chmurach z miejsca na miejsce, piorun jej służy, błyskawice pomagają, słońce nawet mimowolnie należy do spisków, i koniec końcem, gdzie chcą doprowadzą posyłkę pewniej jak poczta nasza, choć może nie prędzej od niej.

Zarodek, gdy się poczuje w swojem miejscu, natychmiast się rozposaża, czepia, chwyta i rozpoczyna gospodarstwo... Takim sposobem do naszych kołków w płocie napłyneli wprędce nieproszeni goście, czerwona pleśń, siwy mech, porosty żółte, robaczków moc nieskończona i takie nawet istoty, na które nam braknie okularów i nazwiska.

Niczem świat nasz widomy obok tego niedojrzanego pandemonium, w którem miliony istot, wprawdzie niezbyt wykwintnem ale dobrem sobie życiem żyją... Naprzód, niezmiernie im mało do tego potrzeba; powtóre, mieniają się co mgnienie oka jedne z drugich powstając, a miejsca prawie jak żadnego nie zajmując i milion ich w setnej części kropli łzy ludzkiej wygodnie się obraca...

Nie zupełnie pewien jestem tego statystycznego rachunku, ale kiedy na ziemi zaludnienie mili kwadratowej środkowej Europy dotąd z pewnością oznaczonem nie zostało, nie możecie mieć do mnie żalu jeślim się i ja omylił.

Dosyć że tych stworzeń ćma jest i liczba niewyliczona... a rozmaitość taka, że tam ojciec do syna, ani matka do córki nie podobni wcale (co i u nas się trafia) a często z wieloryba rodzi się wąż i z okrąglaka spiczaste potomstwo...

Szczęście to wielkie, że człowiek tego skrytego świata nie zna wcale, i w tajemnicze urządzenie jego się nie wdaje, boby kropli wody nie wziął w usta i kawałka chleba nie spożył spokojnie. Z tych to istot niepostrzeżonych falangą przyszły na nasze kołki cierpienia niespodziewane... Z początku plamki się porobiły na korze jak gwiazdki malutkie, ale dalej, dalej jęły się szerzyć, rozrastać, grubieć i dogryzać do głębi. Mech wysysał soki, robak toczył miazgę, pleśń jadła korę, a gnilec od ziemi i nóg począł swoje dzieło zniszczenia.

I jak wszędzie tałałajstwo to uczepiło się chciwie naprzód najsłabszych kołków... na twarde czekając żeby je sam czas rozmiękczył i przygotował do łatwiejszego strawienia.

Jedna wierzbina przyjęła w łono swoje wszystkich, ani się frasując, ani czując zagrożoną.

— A co mi tam — mówiła ruszając gałązkami zielonemi — zjedzą mi korę, odrośnie, stoczą liście, puszczę nowe, wyżrą miazgę, zbiorę się na inną... a żyć będę i muszę... Mało to moich krewnych ledwie się trzyma ziemi popękane, pokrzywione, wyschłe a taki z wiosną puszczają!

Nasz dąbczak winien był nieugiętemu charakterowi swojemu, że do niego nic nie przystało: maleńkie porosty poczepiały się kory, ale na niej wyżyć nie umiały, parę robaczków zajrzały wewnątrz i cofnęły się, tak im tam wydało się twardo. Znać jak Niemcy przywykłe były do pierzyny.

Niewygodnym tylko bardzo stał się dlań chmiel, który od korzenia puściwszy, bo rósł tam od wieka, zarzucił mu przez głowę swój sznur zielony i począł go motać i oplatać serdecznie. Był to jednakże niby przyjaciel i takim się nazywał...

Chmiele i dęby zawsze rosły razem, i ten przypytał się zaraz do towarzystwa dąbczaka z wielką uprzejmością, a raz nań siadłszy, pod pozorem dawnych familijnych stosunków i znajomości, tak ciasno obmotał, że biednemu kołkowi na świat już ciężko było wejrzeć za jego szorstkiemi liśćmi.

Nie wchodzim w to, jakie były istotne uczucia chmielu, który, jak wiadomo, za starego uchodzi figlarza, i pieśni ludowe malują go nam jako bardzo niebezpieczną istotę; to pewna, że się przyznał powojom, z któremi niekiedy gawędził po nocach, że dębowy kołek jako silniejszą i pewniejszą podporę wybrał sobie, choć szczególnego doń nie miał zkądinąd nabożeństwa...

Jednakże przed dąbczakiem nie zeznał tych egoistycznych pobudek i zaklinał się, że jedynie przez pamięć na odwieczne ich rodzin stosunki, na miłość prastarą.... uczepił się do niego. Jakoż przywiązanie to wyraziło się w sposób gwałtowny i wcale dla kołka nieprzyjemny.... chmiel rzucił sąsiadów, wlazł mu na głowę i przysiągł, że go nie opuści...

Im bardziej go oplątywał, tem głośniej mówił, że go osłania, im ściskał mocniej, tem się serdeczniej zaklinał, że go na zimę od mrozu odzieje, im gęściej liśćmi zaciemniał, tem usilniej dowodził, że to go od gniazd i ptaszych obelg osłoni...

Niepodobna się więc nawet było gniewać na napastnika, który takiego przyjaciela udawał, a słodkiemi wyrazy durzył, bałamucił i przysięgał się, że gotów się cały dla nieszczęśliwego towarzysza poświęcić, choćby go to życie kosztować miało.

Dąbczak poddał się losowi i stał niemy.... wiedział dobrze co ta przyjaźń znaczy, słyszał jak chmiel w inny sposób, a temi samemi wyrazy przemawiał do kołków osikowych i leszczynowych, niekiedy nawet dając im do zrozumienia, że od dębowego więcej są warte... ale cóż było począć? znosił uściski, które zeń po troszę wypijały życia...

ROZDZIAŁ SIEDMNASTY.

Zabłąkany znów autor prosi o cierpliwość czytelnika.

Z drugim kołkiem naszym (bo tak mimowolnie chce się nam nazwać Sachara) nie lepiej było jak z tamtym... Stał w swoim płocie, bo ruszyć się nie mógł, ani umiał, i pleśniał i gnił powoli, a ludzie go jak ten chmiel przyjaźnią i nienawiścią oplątali.

Powoli oswojono się z nim i raz uznawszy nie spełna rozumu, obchodzili się jak z głuptaszkiem. Czasem w jego czarne zadumane oczy wbiegł zbłąkany wzrok kobiecy, szukając tam iskierki ognia pod popiołami i prędko wystraszony powracał, jak gosposia co po ogień wpadła do pustej chaty i zastała w niej trumnę tylko... Dziewczęta widziały że śliczny a obawiały się go jak upiora. Miał bowiem minę i milczenie i smutek tej istoty, co z drugiego świata wróciła za pokutę nie w swojem ciele błądzić po ziemi... Pokazywano go sobie zdala palcami, gdy szedł kołyjąc ze spuszczoną głową, nigdy nie wiedząc co czyni i co go otacza.

Ale tak jakoś machinalnie nawykł wedle teorji Matyasza robić co mu kazano i obracać się nie swoją wolą, że choć myśl jego gdzieindziej wędrowała, on sam posłuszny słowu, robił co mu zadano...

We dworze pan go za to znosił, że nigdy nie gadał, pani może, iż jej oczów nie raził, bo był przystojny i miły, panna dla muzyki, którą lubiła; i nie było mu tak bardzo źle, ale to już jak owego kołka w płocie i życiem nazwać trudno.

Czuli wszyscy, że tak zmarnieje, zestarzeje się, zszarza i z tą skrzypką pójdzie kiedyś po żebraninie... on sam inaczej nie myślał, ani prządł pajęczyn na-

dziei, na które mu wątku nie stało.

Niekiedy dawano mu swobodę na dzień cały, państwo wyjeżdżali z domu, chłopak zostawał przy kredensie. Matyasz szedł w odwiedziny do znajomego szynkarza a Sachar otrzymywał pozwolenie błąkania się sobie po świecie... Więc brał skrzypkę pod pachę i po staremu ruszał w gaje i pola, aby gdzieś na zielonej mogile przysiąść i grać... biednym myszkom polnym i starym dębu gałęziom... Naówczas przypominały się młodsze jego lata, i nie wiedząc czego płakał po nich, płakał potem po dniach przebytych z mistrzem w miasteczku, i płakał jeszcze, nie wiedząc czego, aby sobie popłakać, bo mu się zawsze na łzy zbierało, a nie każdego dnia mógł im dozwolić płynąć.

Naówczas późno powracał, kładł się spać i śnił, że mu z nóg więzy spadły, że był swobodnym, że szedł w świat z podniesioną głową, a piosence jego ludzie się dziwowali...

Ot i nie wiem już wiele tak lat trwało; rachunku w pamiętnikach, służących mi tu za materjał znaleźć nie mogę, dosyć, że we dworze znalazła się wzięta ze wsi sierotka, której wychowania podjęła się panna Adelaida.

Zdaje mi sie, że szanowny a pełen domyślności czytelnik już musi oddawna niecierpliwie wyglądać tego zjawienia, które jego doświadczenie przeczuwać mu każe. Nawet historja kołka w płocie nie może się obejść bez heroiny, a choćby, mi znowu zadawać miano, że zawsze wybieram chłopkę, lub coś podobnego, za bohaterkę powieści, jest-że w mojej mocy zmienić twardą przeznaczenia wolę?

Sami powiedźcie, mogęż wprowadzić królewne, księżniczkę, a przyzwoicieżby było, żebym go wplątał w romans ze szlachcianką i jakie, uchowaj Boże, wywołał zgorszenie?

Że się zaś zakochać musiał, sami widzicie, najobojętniejsi czytelnicy, nieuchronność.

Bohater, który tak ładnie gra na skrzypcach, i włóczy się wzdychając po kątach, po lesie, który nie ma

serca coby go zrozumiało, duszy bratniej i dłoni przyjaznej... musi wreszcie wyszukać sobie choćby w garderobie kochanki. Wybór jego nie mógł paść ani na prostą ze wsi dziewczynę, z widłami od roztrząsania czegoś powracającą z pola, ani na aksamitną suknię kobiety, którąby nań spojrzeć nie raczyła...

Wychowanka zaś panny Adelaidy była istotą... naturalnie wybraną, kiedyśmy my, to jest ja i Sachar, za bohaterkę ją sobie naznaczyli. W kolebce odumarli ją rodzice, żyła jałmużną mleka biednej kobiety która dziecię własne straciła, potem podrosła na ulicznych śmieciach, a gdy się to jakoś do ludzi podobne zdało, przez litość wzięła ją panna Adelaida. W dziesięciu leciech pokazało się, że z tej gąsieniczki wcale ładny począł się robić motylek... czarne miała oczki, brew czarną, nosek malutki, usta rumiane, a płeć tak białą, jak gdyby jej nigdy nie opalało słońce na rozdrożu, gdy gęsi pasała. Była to taż sama dziewczka, którą wyrostkiem Sachar kiedyś widział na łące, i do dziś dnia pamiętał.

Panna Adelaida, nie mająca tak bardzo kogo kochać, przywiązała się do niej całą siłą niewypotrzebowanej miłości, ale nieopatrzna, zapomniała zupełnie co dziewczęciu potrzebnem a co szkodliwem być mogło.

Więc je pieściła, stroiła i uczyła jak panienkę mnóstwa rzeczy, które główkę zawracają, serce bałamucą i tęsknicę rodzą, nigdy jej zaspokoić nie mogąc. A mała Natalka tak to chciwie chwytała, że przy pomocy swej pani wyrosła i wyszła na panienkę, w której doprawdy nic już chłopki widać nie było. Nazywano ją nawet panną Natalią i nie jeden panicz, bywający we dworze panów Rogalów, pytał co to za śliczne stworzeńko koło okien przeszło, i myślał że to być musi najmniej córka ekonoma lub klucznicy.

Niektórzy zapaleńsi brali ją za jakąś zafarbowaną kuzynkę, do której się nie przyznawano...

Że pannę Adelaidę, która za mąż wyjść jakoś nie umiała i za długo siedziała na karku bratowej i brata,

nie bardzo tam lubiono, rozumie się że i pannie Natalii nie zbyt było dobrze. Więc pani i sługa tęskniły razem, skarżyły się sobie i czasem płakały po cichu w dwóch ciasnych pokoikach, które im na tyle dworu wyznaczono, pod pozorem że tam było bardzo zaciszno... Wprawdzie piękność Natalki jednała jej przyjaciół rodzaju męzkiego i sam pan Wincenty lubił ją głaskać pod brodę, ale dziewczę było niezmiernie dzikie, pierzchliwe i tak dumne, że przystąpić do siebie nawet Rogali nie dozwalało. Ztąd znowu niechęci wiele. Natalka równie obawiając się przyjaciół i niechętnych, dnie spędzała w pokoiku nad krosnami, a na krosnach tych często leżała wykradziona od pani książka...

Już tedy znacie tyle moją heroinę, że reszty gotowiście się domyśleć. Z okna jej pokoiku widok był na ogród... często tamtędy smutny Sachar przechodził, często skrzypce jego słychać było w pokoiku pani i izdebce służącej.

Potem się jakoś oko w oko spotkali parę razy, ale biedny chłopak ani śmiał zatrzymać się przy pannie Natalii.... Dosyć że ona sama pierwsza musiała przemówić do niego, co ją nie małego kosztowało rumieńca...

I jakoś się poznali i nie wiem jak zbliżyli, i bardzo naturalnie zrozumieli...

Ale ledwie się to stało a Sachar zamarzył, że i onby żyć mógł jak drudzy, we dworze szeptać poczęto i przedrwiwać okrutnie, mówiąc jakoby się panna Natalia zakochała w grajku.

Skrzypek uchodził za warjata, jakoś to było nieprzyjemnie i stosunki się zerwały, a Sachar nic się temu nie dziwił, tylko go to zabolało... Ale przywykły cierpieć, nie wydał się ani smutniejszym, ani głupszym, jak to się innym wydarza.

Ludzie zagadali, popatrzali i przestali, aż znowu jakoś panna Natalia spotkała się z Sacharem, a że nikogo nie było we dworze, a chłopiec kredensowy używał wczasu i spał znakomicie chrapiąc, na przydłuższą zabrało się rozmowę...

Darujcie mi czytelnicy, że tak nizkiego pochodzenia

częstuję was kochankiem i kochanką, ale przytrudno dziś o innych. Jeśli się kto jeszcze naiwnie kocha i namiętnie przywiązuje, to chyba prości i niezepsuci.

W naszym świecie, sami popatrzcie, czy może się kto z tych młodzieńców zakochać, która z tych panien dać rozmiłować? A nuż ona nie ma tyle posagu, a dusza narzeczonego obciążona bankowym długiem? Możnaż się kochać bez pewności wioski lub kapitału? Godziż się żenić na łaskę Bożą, nie mając zawczasu obrachowanej strawy do trzeciego pokolenia? My albo rozpustujemy, albo mamy fantazyjki skrzydlate, ale żebyśmy mieli się kochać, to się nie pokaże po nas.

Kochają sie jeszcze tylko ubodzy, którzy rachunku nie znając, w Pana Boga wierzą i pracy się nie boją.

Żeby zaś owa miłość dwojga prostych ludzi miała być gorszego gatunku od Abeillarda i Heloizy, od Hero i Leandra, nawet od Romea i Julietty, jakoś mi pojąć trudno. Być może, iż się inaczej i prościej wyraża; ale te cudne rozmowy dwojga kochanków przy świetle księżyca, które my dla was układamy w ciepłym pokoju, po dobrym obiedzie, miałyż kiedy miejsce na świecie? Z równem nieprawdopodobieństwem można je bezpiecznie włożyć w usta Sachara i Natalki, jak Artura i Heleny... Ci co się kochają a mocno i serdecznie, mówią nie wiele; najwięcej ci, którym chodzi o to aby miłość jakiej nie czują pokazać. Zamiast rozmowy jest tam szept jakiś cichy, zamiast zaklęć wejrzenie służy, zamiast monologów, ręki ściśnienie... ruch każdy wówczas wymowny, a usta ukochanej istoty na wargach kochanka najszczytniejszą poezję śpiewają... i pieśń pocałunku jest jedynym dytyrambem uczucia.

Nie powtórzę wam ani pierwszej, ani ostatniej rozmowy dwojga tych sierot, które uczuły ku sobie miłość z jakiej my cywilizowańsi śmiejemy się głośno, której zazdrościm po cichu... miłość starych czasów jeszcze, jakiej na świecie już nie ma...

I przyszło do tego niewiedzieć jak, rozwinęło się to powoli, a gdy oboje zajrzeli w serca swoje, przelękli się i rozpłakali...

Pani Rogalina, której usłużny jej dwór zaraz doniósł co się święci, wielce rozgniewała się z razu, że dwoje ludzi pod jej okiem kochać się tak śmieli bezczelnie, nie spytawszy o pozwolenie; ale że Natalka należała do Adelaidy, naprzód ją po cichu zaskarżyła przed nią o schadzki wieczorne i miłośne konszachty z Sacharem...

Panna Adelaida chciała się rozgniewać, ale Natalia padła przed nią na kolana, wyznała wszystko i biedna panna uściskała ją milcząc, nie mając odwagi powiedzieć słowa...

Sachara także nikt o to nie strofował; dziwowano się tylko, że miał odwagę przywiązać się do kogoś, on, co dla siebie samego żadnej nie miał przyszłości...

Zresztą pan Rogala daleko był w tym względzie więcej pobłażającym od żony i zawsze mawiał, że za zasadę przyjął w sprawy serdeczne się nie mieszać.

Pozostało więc wszystko jak było; tylko znowu młodych dwoje musieli widywać się rzadziej, ostrożniej i na oko uciekać od siebie, aby ludziom nie dawać powodu do niechęci i potwarzy. Sachar tymczasem dumał sobie i pytał się w duchu: — co ma począć? gdzie żonę zawiedzie? z czego żyć będą? a nie przyszło mu na myśl, że z tego kąta ziemi wyjść nie może, jak ów kół wbity w płot, że jest własnością miejsca, jeśli nie człowieka i nie dorósł do swobody zwierzęcia, ruszającego się gdzie chce i gdzie oczy poniosą. Ale miłość ma dziwną czasem logikę, daleko osobliwszą od tej, którą nieboszczyk Trentowski napisał.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY.

Jak niebezpieczna jest miłość kiedy nie ma butów.

Głównie to wszystkich zajmowało we dworze, jak się stać mogło, by piękna panna Natalia przywiązała się i pokochała takiego szaleńca i odartusa jak Sachar? Nikt tego nie pojmował a wszyscy ruszali ramionami... miała bowiem do wyboru kilku pisarzy prowentowych, jednego ekonoma, kamerdynera wielkiego domu, a nawet maleńkiego dzierżawcę, który zobaczywszy ją w kościele, wzdychał do niej potężnie; mogła świetnie pójść za mąż — a dziś!!..

— Przejdzie to — mówił stary Matyasz — ale nie bez tego, żeby pannie nie szkodziło... wyda się za mąż, to pewna; jeśli nie ona sama, to rozumniejsi od niej to uczynią, ale zawsze już nie tak jakby była pójść mogła, gdyby nie ten Sachar...

Tymczasem, pomimo przepowiedni, przywiązanie ich wcale nie mijało i nie zmniejszyło się wyśmiane i ohydzone... Natalka znosiła szyderstwa spokojnie, z uśmiechnioną twarzą, nie odpowiadając na nie, co najwięcej wszystkich jątrzyło; Sachar wrzał i kipiał jak wściekły, nie znosząc najmniejszej zaczepki, tak, że w końcu zaczęto się go obawiać. A że obojga strzegła zazdrość ludzi, którzy sami się kochać nie mogąc, drugim szczęście wydrzeć chcieli, z daleka tylko lub na chwilę mogli widywać się z sobą... Miłostki przerywa lada maluczka przeszkoda, ale nie miłość prawdziwą, a wierzcie mi, że tę tak nazwać było można, choć nie mówiła po francuzku i nie chodziła w rękawiczkach.

Wiedzieli o tem, że gdy wieczorem otworzy Natalia okienko, a przechodzący Sachar przy niem się za-

trzyma, ktoś pewnie będzie podsłuchiwał z krzaków ich rozmowy, że jeśli się zejdą w ogrodzie, ktoś pogoni za niemi... i milczeli, z daleka tylko patrząc na siebie.

Wszyscy zdawali się spiknięci na ich zgubę, starzy i młodzi, od Matyasza do Kasperka w kredensie, ale najsrożej obchodziła się z niemi pani Dorota, która zawsze jeszcze pojąć nie mogła, jak takim ludziom przyjść może na myśl bez pozwolenia się kochać i trwać uparcie w namiętności zakazanej.

Pan Wincenty śmiał się z jej gniewu, siedząc pod piecem, tak była śmieszną ze swą powagą pani i gospodyni domu, trwożnej o prawa nad sercami i głowami podwładnych; a im więcej śmiał się pan Wincenty, tem pani mocniej się gniewała...

Najmniejszego do tego powodu nikt jej nie dawał: Sachar służył milczący, Natałka siedziała nad krosnami, we dworze szło wszystko swoim porządkiem...

I po niejakim czasie powiedziano sobie, że kochankowie już się kochać przestali...

A miłość ich cicha i trwożna, wyśmiana i wyklęta, trwała przecie, wzmagając się z dniem każdym, i jedna panna Adelaida wiedziała tylko, że byli sobie wierni, ale pobłażliwa dla nich, milczała.

Spróbowała nawet, gdy sam na sam była z bratem, spytać go, czyby nie można pożenić ich z sobą... ale pan Wincenty takim parsknął śmiechem, że się przestraszyla, nie pojmując coby tak niedorzecznego powiedzieć mogła.

— Pożenić ich, wyśmienicie — rzekł brat — dalejże co? chyba im dać Dębin, żeby sobie panowali. Pan Sachar artysta, na chleb pracować nie będzie, pannę Natalię wychowałaś na wielką panię... chodzi w sukienkach i kapeluszach... do chaty nie wrócą... śliczną byś im dała przyszłość.

Wieczorem panna Adelaida wspomniała o tem Natalii, a dziewczę rzuciło się przed nią na kolana.

— Tylko się nam pobrać pozwólcie — powiedziała jej — pójdziemy do chaty oboje, wdziejem siermięgi,

do których nas Bóg stworzył, będziemy pracować i trud nas nie zastraszy, a błogosławić was całe życie przy każdej nie zapomnim modlitwie!

— Moje dziecko... ależ to nie zależy odemnie! I popłakały się obie.

— Czekajmy cierpliwie — mówił Sachar — Bóg łaskaw... ludzie się zlitują, a jeśli nam bronić będą szczęścia, ucieczem ztąd za morza; wszędzie zarobić można na chleba kawałek i powietrza nam płacić nie każą... ja na ciebie zapracuję...

Natalia popłakała i usiadła do krosienek i czekali...

Rok minął i drugi, a we dworze nic się nie zmieniło; do pięknej Natalki wciąż szli z ofiarami zakochani wielbiciele i odchodzili bez nadziei... co wieczora spotykali się z Sacharem, uścisnęli ręce i rozstawali smutni. Jeden nareszcie z natarczywych pretendentów o jej rękę, wyrobił sobie opiekę pani Doroty, która go obiecała ożenić.

Nie wzięła się do tego jednak jak z razu, siłą i rozkazem, ale z przebiegłością niewiasty, która zna serce ludzkie. I zbliżyła się do Natalki przyjaźniej, poufalej, zaczynając od ogólnych wyrazów o losie i świecie, a kończąc na teorji miłości ludzkiej, która kwitnie od lat 15 do 20 tylko...

Zimny rozsądek, powoli i chłodno stający przeciwko uczuciu ze swym stalowym orężem, jeżeli w pierwszej chwili pobity nie zostanie, zawsze ma wielkie prawdopodobieństwo wygranej. W doraźnem starciu uczucie bierze często górę, ale rozum jest jak piechota, która murem stojąc odeprze nacisk harcującej jazdy...

Pani Rogalina wciąż powtarzała pięknej Natalce:

— Moja droga, z twoją twarzyczką i wychowaniem, które winnaś swej pani, możesz, jak na siebie, zrobić prawdziwie dobrą partję... szkoda mi że się upierasz... Zycie to nie jeden wieczór wiosenny spędzony u boku ulubionego... to podróż, potrzebująca towarzysza pewnego i z sakwą zapaśną...

Potem wracając znowu do tego przedmiotu, mówiła jeszcze...

— Gdyby wam nawet pozwolono się pobrać... cóż z tego? Sachar nigdy gospodarzem nie będzie, jemu to skrzypka, to włóczęga w głowie... Pókiście młodzi, miłość często głodu poczuć nie da... ale na starość, gdy to wystygnie, a przyjdzie siąść u zimnego komina bez kawałka chleba?.. pomyśl sama, moje dziecko... tyś nadto rozsądna byś tego zrozumieć nie umiała...

Natalka uznała w duchu że jest rozsądna, i poczęła myśleć i jakoś się ulękła tej przyszłości, którą dotąd widziała tak różową...

I Sachar znalazł ją we łzach, chłodniejszą jakąś, bojaźliwą, ale nie wierzył by kiedy to serce zdradzić go mogło...

A Natalka już się wahała... Kto waha się ten nie kocha... miłość która nie wzrasta, już stygnie. Sachar szalał coraz mocniej, dziewczę powoli się cofało... i parę razy nie znalazł jej w izdebce, a gdy się do niej docisnął, kazała mu odejść by ich kto nie postrzegł.

I widywali się coraz rzadziej, a Natalka posmutniała... stała na rozdrożu, w niepewności dokąd pójdzie... Z jednej strony był rozsądek z workiem w ręku, z drugiej miłość bosa, odarta, zapłakana, ale jeszcze sercu droga...

Tak długo już wiernymi byli sobie, że w końcu on nie mógł przypuścić w niej zmiany, i choć ją poczuł, nie zrozumiał...

Dziewczę stroniło od niego — on wierzył że świat temu winien nie ona... grał tylko boleśniej, płakał częściej, burzył się w duszy na ludzi, a kochał jak w pierwszym dniu kiedy się uśmiechnęli do siebie.

W chacie Pakułów wiedziano już o tem i przez dworskich i od niego, ale ojciec mówił od początku że z tego nic nie będzie i studził syna jak umiał; matka się obawiała, dziaduś wprost prorokował, że dziewczyna zdradzi: miał lat przeszło osiemdziesiąt i nie wierzył dziewczętom...

— Z tego wszystkiego — powiadał — nowa tylko jakaś bieda wyrośnie...

Natalka nareszcie popłakawszy, sama powiedziała

sobie to co jej dzień w dzień powtarzała pani Rogalina... i natychmiast dojrzała, że Sachar był trochę szaleniec, a życie z nim niepodobieństwem...

Jednak gdy do niej przychodził pokorny, drżący, biedny, nie śmiejąc nawet dotknąć tej dłoni, która przez lat kilka nawykła w jego rękach spoczywać, gdy zagrał i zaśpiewał, gdy poszeptał temi słowy co serce jej otwarły, biedne dziewczę ze łzą w oku przytulało się do niego i nie wiedziało jak rozstać... jak mu powiedzieć... jak go pożegnać.

Była tam jeszcze na dnie iskierka przywiązania niedogasła, ale dął na nią wiatr mroźny i co chwila malała, tlejąc coraz ciemniej, rozsypując się w popioły.

Naglono ją by dała słowo, i przyrzekła, a jeszcze Sachar nic nie wiedział i marzył i przychodził wieczorem spowiadać się jej ze swoich dum i snów przyszłości. Ona słuchała, ale nic nie odpowiadała; jej zdala śmiał się biały domek folwarczny otoczony bzami i malowany wózek męża przyszłego, którym miała jechać do kościoła, i schludne pokoiki, gdzie jako pani wszechwładna zasiąść miała.

Sachar nic nie mógł więcej obiecywać nad ubogą chatę we wsi, zagon mały i pracę ciężką... a dziewczę trochę było rozpieszczone i mówiło już sobie, że czegoś więcej jest warte.

I stało się tak, co się codzień do koła nas dzieje, że miłość zwyciężył rozsądek, a Natalka wzięła na palec pierścionek zaręczyn, ale jeszcze unikając Sachara milczała... i niekiedy ciężko jej było pomyśleć, że się z nim rozstanie na zawsze.

Nie miała odwagi nic mu powiedzieć, on nie umiał domyśleć się niczego...

Aż gdy raz późno w noc przybiegł do otwartego okna, w którem dziewczę płakało i marzyło i... dziwne przeczucie nim wstrzęsło.

— Co to jest? — zapytał.

Natalka chciała już skłamać, ale usta jej zadrżały nieme...

— Byłażby to prawda co mi ludzie dziś mówili? nie...

— A gdyby była prawda? po cichu spytała cofając się dziewczyna.

Sachar odstąpił krok, popatrzył długo, długo, oczy mu się zaiskrzyły, wargi zadrgały, i nie mówiąc ani słowa, powoli odszedł od okna...

Wejrzenie jego przeszyło ją, chciała wołać by powrócił, zatrzymać, przebłagać i rzucić w chwasty pierścionek przeklęty; ale po chwili dała się słyszeć wesoła piosenka, tak czystym i spokojnym nucona głosem, że dziewczę się oburzyło... i krzyknęło niemal z rozpaczą: — On nie kochał! on kłamał!

Sachar nie kłamał wszakże i kochał szczerze, ale w głowie jego, po której z dawna chodziły sny niesłychanych rzeczy, nagle i piorunowo zwichnął się rozumu ostatek... chłopak po prostu oszalał. Tylko Bóg łaskaw dał mu obłąkanie śmiejące się, wesołe, rajskie i szczęśliwe... tak, że pierwszym jego objawem była piosenka dziecinna.

Sachar uczuł się jakby przebudzonym ze snu ciężkiego nagle, jaśniej zrobiło mu się w oczach, lżej na sercu, był swobodny, bogaty, i ludzie nic mu już zrobić nie mogli... stąpał jak król okolony poszanowaniem i miłością.

I prosto poszedł do swojej izdebki, zdjął skrzypkę ze ściany, nastroił nie pytając czy kto w nocy nie zbudzi się muzyką i począł grać i śpiewać wesołe pieśni, jakich jeszcze nie próbował nigdy...

Wszyscy spali, ale ta szalona muzyka pobudziła dwór cały; zbiegli się przestraszeni, otoczyli go kołem, chwytając, rwąc, usiłując wstrzymać i nie mogąc nic poradzić zapamiętałemu grajkowi. Zdawał się nie widzieć nikogo, nic nie czuć, a do przytomnych odzywał się dobrotliwie, łaskawie, ale z politowaniem uznanej wyższości.

Myślano z razu że się napił, choć nigdy się to nie trafiało... aż starszy Matyasz pierwszy wyrzekł: — Co wy chcecie od niego... on oszalał...

Sachar grał i grał... jakby mu pilno było wszystkie wesołe pieśni, których nigdy nie próbował, od razu wyśpiewać; z jednej wpadał w drugą i coraz silniejszemi dźwięki szalał niepohamowany.

Do koła łóżka, na którem siedział, oprócz sług stali już wszyscy panowie, Rogala, Rogalina, panna Adelaida, a z tyłu po za niemi czarne oko przerażonej Natalki śledziło każdy ruch nieszczęśliwego i łzy biegły po zbladłej jej twarzy...

On niektórym się uśmiechał, ale nie poznawał nikogo: między przeszłością a teraźniejszym dniem węzeł zerwany został tak nagle, że żadna nić nie łączyła już ich z sobą...

Nowy to był całkiem człowiek, tryumfujący, zwycięzki, niedbający o to co go przed chwilą ściskało, czujący się w duchu panem świata... wyższym nad ziemskie pęta i drobnostki, wiążące innych do lichego dnia dzisiejszego i niepewnego jutra.

W oczach jego błyskał ogień geniuszu jasny, a głowa długo zgięta pokornie, podnosiła się dumnie z białem czołem, uwieńczonem niewidomą koroną.

Przed nim stali ludzie, ale to był dwór króla-artysty, słuchacze — a w twarzach ich nie rozeznawał ani jednej, którejby mógł dać nazwisko... był to tłum, lud... nikogo znajomego, jakaś ciżba przywołana muzyką, przypuszczona łaskawie do napawania się u zdroju, której on dawał pić szczodrobliwie, z prawdziwie pańskim uśmiechem.

Z tego szału chciano go obudzić nareszcie i z kolei poczęli przystępować wszyscy, których się wprzódy obawiał, przed którymi ustępował trwożny... Sachar patrzał na nich chwilę, ale ani ich postać, ani słowa nie czyniły na nim najmniejszego wrażenia... uśmiechał się im łagodnie, łaskawie, nic więcej...

Wszyscy zrozumieli że był obłąkany — jedna Natalka wiedziała przyczynę.

Biednemu dziewczęciu pierś wezbrała żalem niepohamowanym, i nie patrząc już na nikogo, nie czując wstydu, rzuciła się ku niemu, rękami obejmując go za

szyję ze łkaniem i płaczem:

— Sacharze mój drogi! to ja! to ja! Natalka twoja!

— A! i ona oszalała! — rzekł Rogala — otóż i masz.

Ale Sachar ani jej głosu ani twarzy nie poznał, uśmiechnął się dobrotliwie i zlekka odsunął od siebie, potrząsając głową...

Ona przypadła do kolan jego i poczęła tak płakac serdecznym śmiechem i łzami razem, aż litościwi ludzie od niego ją oderwali.

Na nim ani hałas ten, ani rozdzierający krzyk dziewczęcia, ani płacz, nie czyniły najmniejszego wrażenia... on grał...

Pot kroplami ogromnemi oblewał mu skronie, oczy zapalały się coraz to mocniejszym blaskiem, pierś buchała, a usta śmiały się... nareszcie pochylił się, powieki zamknął i usnął.

Jakkolwiek zimni są ludzie, są przecie widoki straszne, które przejmują do kości najlepiej uzbrojonych przeciwko uczuciu; odezwie się w ich głębi coś ludzkiego, zadrży struna, która cały świat jednym dźwiękiem łączy.

Kiedy Sachar padł na łoże swoje, wszyscy stali przykuci, w milczeniu upokorzenia jakiegoś przed tem uczuciem wielkiem, które ich podbiło; litość znalazła się tam nawet gdzie nigdy mieszkać nie zwykła.

— Dajcie mu pokój, to przejść może — odezwała się Dorota — biedny chłopiec!... któżby był sądził, że on tak kochać potrafi, że tak to uczuje... Doprawdy, żal mi ich obojga... ale to chwilowe być może.

Powoli rozeszli się wszyscy; niektórzy spać się pokładli. Natalka leżała w gorączce, wyrywając się i chcąc pójść ku niemu; posłano po lekarza... Sachar spał, ale tak cicho i spokojnie, w tak szczęśliwem i błogiem upojeniu, a usta jego tak się uśmiechały łagodnie, że Matyasz, który go pilnował, miał nadzieję, iż się przytomnym obudzi.

Nadszedł wreszcie ranek, u progu stali rodzice Sachara, płacząc a czekając żeby oczy otworzył; chłopak

westchnął i poruszył się, przetarł powieki i powoli zwlókł się z niewygodnego swego barłogu... Ale za pierwszem spojrzeniem martwych i błyszczących źrenic jego poznać było łatwo, że przytomności nie odzyskał. Wzrok jego nie patrzał na świat i nic na nim nie poznawał; wziął swą skrzypkę, minął rodziców którzy go płacząc wstrzymywali i wolnym krokiem poszedł z izby.

Dzień był jasny i piękny... Sachar wesół i swobodny, powitał się z królem słońcem i królewiczem porankiem jak starzy towarzysze... odetchnął piersią pełną, tak mu zdrowo i dobrze było na świecie!... poszedł machinalnie drogą ku oknu Natalki, i zdziwił się niby że go tam kroki zawiodły, potem dalej w sad, w lasy, na pola...

Rodzice biegli i zdążyć nie mogli, siedli na miedzy i płakali, a stary dziaduś, wyschły i lżejszy, podążył sam jeden za utrapieńcem. Sachar i tego nie poznał...

Rzekłbyś że go ciągnęły wzgórza, bo się piął ku wyżynom i z wierzchołka ich długo na świat swój patrzał, uśmiechając się z radości że tak był piękny.

Nareszcie siadł na najwyższej mogile, podstroił skrzypkę i znowu hymn swój grać zaczął... Dziaduś skulony, patrząc mu w oczy, przyległ u nóg jego...

A w miarę jak coraz dłużej wzrok staruszka poił się wejrzeniem obłąkanego, dziaduś czuł że szał go ogarnia jakiś i dzikie myśli szczepi mu ta rozogniona źrenica... I musiał spuścić oko aby sam nie oszalał...

O południu, znużonego jak dziecię powiódł do domu Perebendia, a Sachar dając się wieść posłusznie, słowa nie przemówił... W chacie usiadł na ławie, a gdy matka podała święty chleb czarny i strawę, jął się jadła jak najzdrowszy i napasł lepiej niż kiedy.

Prosty lud myślał że jadło go uleczy, że ochota do niego będzie znakiem uzdrowienia — ale mylili się bardzo; Sachar nie był chorym i czuł się dopiero szczęśliwym, bezpiecznym, panem siebie i losu. Nigdy mu piękniejszy rumieniec nie kwitł na policzkach, ani

usta raźniej się nie śmiały...

Siadł ze skrzypkami na przyźbie w słońcu i grał do wieczora...

Gdy zmierzchło porwał go jakiś niepokój, wstawał kilka razy jak gdyby przyszła dlań pora pójść gdzieś koniecznie, ale się pokręcił po podwórku i został przy chacie...

Lekarz przybyły obejrzał go, potrząsł głową i uznał nieuleczonym.... dodał nawet po cichu, że wyprowadzić go z tego stanu byłoby okrucieństwem... był to pewnie najszczęśliwszy z ludzi...

Nazajutrz i dni następnych nic się już nie zmieniło, chodził po polach, przyprowadzano go do domu, a dziaduś biegał za wnukiem, pilnując go z razu aby co złego nie zrobił, potem uspokojony, gdyż Sachar zawsze się wesoło uśmiechał i nic nie myślał złego...

Ludzi witał przyjaźnie, słuchał ich cierpliwie, rzadko słowem odpowiadał, a gdyby nie wiedziano jak do tej błogosławionej spokojności przyszedł, można było sądzić że nigdy nie był innym. Połowę dnia grał na skrzypkach, to znowu odpoczywał i dumał.

Ale w końcu ta biedna towarzyszka szaleńca, skrzypka popsuła się i struny jej popękały, smyk się wydarł, kołki pogubiły... Nic to jednak nie przeszkadzało Sacharowi do grania z równym zapałem i ogniem.

Gdy mu kto struny naciągnął, poprawił i wystroił skrzypce, grał tak ślicznie że duszę wyrywał; ale sam nic nie potrafił, i nie słyszał różnicy piosnki wczorajszej od dzisiejszej.

Niekiedy, jakby instynktem jakimś, przypomniał sobie dawne życie młode, szukał miejsc kędy na noclegi jeździł, biegł na Pakułowszczyznę pod pień starego dębu i kijki strugał i wyrzynał rzucając je po drodze...

Gdy się raz przekonano, że nikomu nie był szkodliwym, a sobie nic zrobić nie myślał, puszczono go swobodnie, zostawując jego dziwnemu szczęściu.

We dworze tymczasem chorowała Natalka i gdy wstała z łóżka po długiej słabości a mimowolnie spoj-

8*

rzała w źwierciadełko, wiszące u łóżka, sama siebie nie poznała... Piękne jej włosy wypełzły, jasne oczy zagasły, rumieniec zastąpiła żółta bladość choroby, i po młodości i krasie przyszło zapłakać na wieki... Pierścionek gdzieś przepadł w chorobie i narzeczony nie wrócił...

Zwlokła się biedna i zapłakała nad sobą... potem powoli siadła do krosien milcząca, i znów rozpoczęła życie złamane jedną chwilą... Częściej modliła się tylko...

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY.

Historja płotu, zdrada chmielu, upadek i niespodziana metamorfoza ostatnia.

Ale gdzież historja kołka? — spytacie — właśnie też do niej powracamy, chwila cierpliwości.

Już wiemy jak go chmiel oplótł pod pozorem przyjaźni, jak na czystej korze dąbczaka złowrogie zjawiły się plamki... to były pierwsze groźby przyszłości. Nasz kołek stał jeszcze mocno i uparcie, a tymczasem chmiel bujał po nad nim w towarzystwie powojów i perestupów; tak dobrze okrył płot cały, tak się na nim uwiesił, że słabsze kije leszczynowe i osikowe, którym już końce podgniwać zaczęły, ciężaru tych coraz cisnących się gości wytrzymać nie mogły.

Jeden czy dwa koły od spodu się obłamały, ugięły, pochyliły, chmiel przewalił się całą siłą w tę stronę, i najwytrzymalsze podpory tej budowy uczuły, że im długo ustać nie będzie podobna. Dąbczak jeszcze się opierał jak mógł, gdy nadeszła burza i jednym zamachem obaliła cały płot na ziemię. Runęły wprawdzie z nim i chmiele i pasożyty, co osłabienia jego były przyczyną, ale niewiele ich to kosztowało, bo mogły na nowo od korzeni puścić. Nazajutrz trzoda powracająca z pola, dziwną obdarzona pamięcią, przypomniawszy zapewne starą w płocie dziurę, którą do sadu wchodzić przywykła, wtargnęła całym zastępem...

Ale co jej bezkarnie uchodziło za czasów starego marszałka, to teraz, pod rządami nowej pani Rogalinej, dozwolonem być nie mogło: wnet zbiegli się pastuchy z biczami, ludzie z folwarku z kołkami, furmani ze stajni, i co żyło we dworze jęło się bydło wyganiać. A że wiele narobili hałasu około tej sprawy, dowie-

działa się zaraz pani, że płot się obalił.

Kazano natychmiast stary zabrać i nowy postawić.

Dziwne są czasem zrządzenia losu i trafy zbliżające ludzi i kołki... wytłumaczyć tego nie można, podziwiać musimy... mistycy chyba gotowi tłumaczyć...

Koniec końcem cóż się dzieje? oto z tego połamanego płotu, wśród którego gruzów bohater nasz leży, gdy wożono na kuchnię chrust i kije na ogień przeznaczone, Pakuła, użyty ku temu, zabrał na wóz nieco pozostałości, i przywiózłszy rzucił w kącie na swojem podwórzu.

Zdaje mi się, że myślą jego było do niższego i skłonniejszego u siebie użyć to ogrodzenia, bo się z kołkami na ogień nie spieszył i chrust tylko pochwyciły baby na podpał... Nie posądzajcie jednak najmilsi a często surowi czytelnicy Charitona Pakuły o kradzież...

Przykroby mi bardzo było, gdyby jeden z moich bohaterów na szubienicę miał zasłużyć. Potrzeba znać włościan naszych, żeby to sobie czysto i jasno wytłumaczyć.

Ludzie ci (a raczej chamy owe) nie mają najmniejszego pojęcia własności i zdaje mi się, że temu nie są bynajmniej winni.

W prastarych wiekach, za błogosławionych barbarzyńskich czasów, jak wszędzie tak i tu była wspólność mienia gromadzkiego i nikt nic nie posiadał. Chrześcjaństwo wyemancypowało człowieka i rozdzieliło własność czyniąc ją wyłączną... ale u nas... wcale się stało inaczej. Wieśniak sam był czyimś, a posiadać nic nie mógł, nie nabrał więc pojęcia tego, czego dlań na świecie nie było. Wedle jego teorji świat był Boży, Pan ziemi był panem ludzi, a Rogala panem Pakułów i tego co oni mieli. Należąc wiec sami do Rogalów, co dziwnego, że jego własność uważali za wspólnie swoją?...

Chłopek sobie kradł w niewinności ducha, jakby brał z własnego spichlerza, bo stary komunizm pogański wraz z niewolą jeszcze dlań trwały prawem. Chariton więc wywiózł po ciemku furę płotu suchego, nie poczuwając się w sumieniu by grzeszył...

Wszakci panu o to także chodzić musiało, żeby on z zimna nie chorował i miał przy czem jeść zgotować?

I ot, jak kołek, który wyrósł na łące Pakułów, osobliwszym zbiegiem okoliczności dostał się pod koniec życia na podwórko Charitona... a tak jeszcze zdrowo i pięknie wyglądał, mimo kilku plamek porostu, który się doń uczepił i ułamanego końca, że go aż żal palić było.

Dziaduś, który gospodarował po podwórku a dawno kija potrzebował, rzucił nań okiem przypadkiem, szczęściem dojrzał, wyjął z kupy, otarł i wyrachowawszy że z niego nieszpetna byłaby laska, położył go na wyżkach w chlewku...

Byłby może dla małej pamięci starowiny wieki przeleżał dąbczak spokojnie, bo nikt go tam wyszukać nie mógł, chyba ten co schował, gdyby nie okulał trochę Perebendia, raziwszy się o kamień, gdy dwojaczki nosił przyjmakowi na pole.

Ból przypomniał potrzebę podpory i dobył kołka, który zaraz nożem z za pasa wyjętym starannie ostrugał... Pokazało się tedy, że oczyszczony w ten sposób dąbczak wcale nawet przyzwoitą miał postawę i był laską niczego. U góry, gdzie grubiej nieco wyglądał, właśnie znalazła się narość, która pewien rodzaj buławy zeń czyniła; staruszek domierzył długość do ręki i bardzo był rad ze swego dzieła.

— Doprawdy — rzekł w duchu stawiając kij u ściany i przypatrując mu się z dala, ani wójt nie ma piękniejszej laski... w niedzielę poważniej mi z nią będzie do cerkwi...

Właśnie gdy się tak zabawiał, nie postrzegł że Sachar, wracający ze zwykłej wycieczki, usiadł przy nim na przyźbie i kijowi się także przyglądał...

Miał bowiem, jakeśmy wspomnieli, od młodu pasję strugania i wyrzynania...

Jakoś machinalnie wyciągnął Sachar rękę i postawiony kij wziął obracać na wszystkie strony.

Stary pożałował, posmutniał, ale wnukowi odbierać go nie śmiał...

— Wziął, to i położy — rzekł pocieszając się...

Tymczasem Sachar nie rzucił go tak prędko, dobył noża, który przy sobie nosił i opatrzywszy główkę kija, począł się koło niej zajmować, usiłując jej nadać kształt jakiś.

— Co teraz to przepadła moja laska! — zawołał Perebendia — ale biedaczysko się choć pobawi...

Sacharowi nie szło łatwo, bo dębina była zaschła i twarda... ale od czasu oszalenia taką miał siłę, że kamień zetrzeć mógł w rękach. Choć nóż więc nie dopisywał, drzewo ustąpić musiało, i Sachar uśmiechając się zwycięzko, wyrobił z nieforemnego guza na podziw osobliwą głowęjakąś tak misternie, że Perebendia wydziwić się jej nie mógł i stał przed nim osłupiały.

Głowa zaprawdę była dziwaczna, ale się śmiała takim serdecznym, zawiesistym śmiechem, rozdartą od ucha do ucha poczwarnie gębą... a raczej paszczą, oczki jej tak się gdzieś w marszczki pochowały głęboko, a całe oblicze tak dziwnie było pofałdowane, że patrząc na nią, samemu śmiać się chciało...

To też i Sachar zrobiwszy to arcydzieło, począł się śmiać na całe gardło, i stary Perebendia spojrzawszy wziął się za boki...

Żeby to miała być twarz ludzka... trudno powiedzieć... nosek na psi zakrawał, uszy miała długie i do góry sterczące, brodę kosmatą niby, a na czole maleńkie różki... stworzenia jednak tego rodzaju w całej okolicy nie było i gdzieby je Sachar mógł widzieć, niewiadomo.

Ukończywszy struganie, biedny szaleniec postawił znowu kij przy ścianie i już o nim zapomniał, staruszek skradł się do niego, powoli wysunął i pilno za piec schował.

W istocie, z tego nieforemnego kija dąbczak wyszedł prawie na dzieło sztuki... chociaż go obrobiła ręka warjata.... Z iluż to szaleństw rodzą się arcydzieła, a proszę mi pokazać aby jedno które rozum wystrugał??

Ale wracamy do naszego kołka, dziś już wychodzącego powoli na kij i na laskę... nie prostą laskę, którą

lada kto z krzaku wyłamał, ale na wcale ciekawą i rzeźbioną, lepiej może niż te, które nam z Niemiec przychodzą. Stary Perebendia, jak wszyscy starzy, miał już tę zgrzybiałą namiętnostkę chowania i gromadzenia, która się nas czepia właśnie wtedy, gdy najmniej potrzebujemy. Przechował więc robotę Sachara tak, aby jej dzieci nie znalazły, i tylko na niedzielę używał, starając się wierzchołek ukryć w rękawie, by mu tego cacka nie odebrano.

Byłby może długo się niem cieszył, gdyby następnej wiosny nie posłano go do miasteczka z workiem kartofli na plecach dla pilnej grosza potrzeby. Stary szedł półtora dnia, co chwila odpoczywając, aż nareszcie zaszedł na rynek, gdzie stał znowu dobę nim kartofle żydówce przedać potrafił za dwadzieścia groszy. Już miał powracać gdy się opatrzył, że ktoś z otaczającej gawiedzi kij mu smyknął tak zręcznie, iż nie wiedział nawet kogo posądzić. Stary mało nie płakał, ale to nic nie pomogło, musiał sobie prostego dostać kołka i z nim razem powędrował do domu powoli.

Z rąk Perebendi kij, jak się to później z pilnego śledztwa okazało, przeszedł do żydka sprzedającego cybuchy i bambusy domorosłe, który go opatrzył skówką mosiężną i wylakierował.

Teraz już była to laska choćby dla jakiego powiatowego marszałka, a na wsi mogąca uchodzić za osobliwość, tak dalece, że żyd ocenił ją wyżej sześciu złotych. Nabytą jednak została przez szlachcica ubogiego, i dziś, zbiegiem najdziwniejszych okoliczności, zachowaną została, przy objaśniającym opisie, w zbiorze jednego lubownika starożytności i zabytków historycznych.

Otóż na czem to prosty kołek dębowy skończyć może, kiedy mu los nieco dopomódz zechce... dziwne losu sprawy!

KONIEC.